

Jakub Tabaczek

Stulejka

Scena 1

Leci piosenka „Ace of spades” zespołu muzycznego Motörhead.

Na scenę wchodzi lub wbiegają:

- Syn, co nie zawsze potrafi przeliterować nazwisko wybitnego współczesnego pisarza

- Chłopak ze stulejką

- Intelktualista – doktor psychologii

- Syn zamrożonego ojca

- Manager-sadysta

- Histeryk-przemocowiec

- Mężczyzna w kryzysie

- leciwy Mężczyzna, który stara się przywrócić się do życia

Mężczyźni pogują do muzyki. Skaczą, potrącają się, odpychają, a jeśli któryś się przewróci – pozostali natychmiast pomagają mu wstać. To ma być szaleństwo, energia, eksplozja. Ale i jest w tym wzajemna męska uważność i serdeczność.

Dziki taniec wyraża tęsknotę za utraconą wspólnotowością.

Scena 2

Osoby: Ojciec (lat 40), Syn (16 lat)

Kuchnia, meble w niej dość już sfatygowane. Na ścianie wisi obraz świętego z aureolą o twarzy przypominającej frasobliwego lub rozmodlonego Michela Houellebecqa. Widzowie nie muszą go rozpoznać, ani nawet dostrzec, ale niech tam sobie będzie, jako patron tej sceny.

Na meble projektowany jest obraz głębin oceanu.

Ojciec siedzi przy stole, bokiem do widowni. Zastygły. Plecy wyprostowane, ręce splecione na blacie, patrzy daleko przed siebie, trochę jakby patrzył, ale nie widział.

Słychać dźwięk klucza delikatnie przekręcanego w drzwiach wejściowych. We framudze oddzielającej kuchnię od przedpokoju ukazuje się Syn. Przystaje zgarbiony, nie patrzy w stronę kuchni.

Chłopak: Dzień dobry. Ojczy.

Ojciec nie reaguje. Syn idzie do łazienki, słychać szum wody z kranu. Potem Syn powoli wchodzi do kuchni. Ojciec nie porusza się. Syn siada na siermiężnym stołku naprzeciwko Ojca. Stołek jego wyraźnie gorszy jest od ojcowego zydła. Głowa Syna spuszczone nisko, pokornie. Znika obraz głębin oceanu, wraca normalne oświetlenie.

Syn: Ojczy.

Cisza.

Ojciec (odchrząkuje): Ze szkoły wracasz, łebasie.

Syn: Tak, ojczy, ze szkoły.

Ojciec: To dobrze. Że ze szkoły.

Cisza.

Ojciec: Co tam? W tej szkole.

Cisza.

Ojciec: Co w tej szkole, pytam.

Syn: W szkole...

Ojciec: Co w szkole? Gadaj mi tu, łebasie.

Syn: W szkole byłem.

Ojciec: Byłeś.

Syn: Byłem w szkole, ojczy.

Ojciec: Czy aby na pewno w szkole byłeś?

Syn: Tak, ojczy, byłem. W szkole. Obecność mam w dzienniku.

Ojciec: Byłeś obecny w szkole.

Syn: Byłem, ojczy.

Ojciec: To co się tam działo w tej szkole, w której byłeś, łebasie?

Syn: W szkole, ojczy, nic specjalnego.

Ojciec: W szkole nic.

Syn: Nic wielkiego, ojczy. Tyle że...

Ojciec: Tyle że jednak coś.

Syn: No, konkurs był.

Ojciec: Konkurs. W szkole.

Syn: Tak, ojczu, konkurs. Polonistyczny konkurs, ojczu.

Ojciec: Z języka polskiego, znaczy się, konkurs.

Syn: Tak, ojczu, to właśnie miałem na myśli.

Ojciec: To czego, łebasie, nie mówisz.

Syn: Przepraszam.

Ojciec: Ojczu.

Syn: Przepraszam, ojczu.

Ojciec: Ja się tu, kurwa, interesuję tym, co w szkole. Interesuję się, jak należy. Jak rodzic powinien. A ty tu z ryjem. Do ojca. Bezczelnie. Łebasie.

Syn: Wybacz. Ojczu.

Cisza.

Ojciec: Więc w szkole byłeś.

Syn: Tak, byłem, ojczu.

Ojciec: W szkole konkurs.

Syn: I ja w tym konkursie z języka polskiego brałem udział.

Ojciec: Brałeś.

Syn: Brałem. To był konkurs...

Ojciec: Konkurs z języka polskiego.

Syn: To był konkurs dla wszystkich klas drugich.

Ojciec: Ojczu.

Syn: Ojczu. Dla wszystkich klas drugich to był konkurs.

Ojciec: Tak.

Syn: Nauczycielka mi powiedziała. Widzę w tobie...

Ojciec: Co tam powiedziała? Ta nauczycielka.

Syn: Nauczycielka-polonistka, ojczu. Powiedziała: Widzę w tobie potencjał.

Ojciec prychnął głośno.

Ojciec: Potencjał. *(kręci głową)*

Cisza.

Ojciec: W tobie.

Cisza.

Syn (bezradnie): Tak powiedziała.

Ojciec: Nauczycielka.

Syn: Na konkurs pójdziesz, powiedziała. Klasę naszą godnie będziesz reprezentował.

Ojciec (prychając): Godnie.

Syn: Tak powiedziała.

Ojciec: Ojczu.

Syn: Tak powiedziała nauczycielka-polonistka, ojczu. Pójdziesz na konkurs o pisarzu, powiedziała.

Ojciec: O pisarzu?

Syn: O pisarzu, ojczu.

Ojciec: O jakim pisarzu?

Syn: O pisarzu, który się nazywa Houellebecq.

Ojciec: Chlebek, powiadasz?

Syn: Houellebecq, ojczu.

Ojciec: Chlebek, Chlebek... A co to za pisarz? Ten Chlebek. Łebasie.

Syn: To podobno pisarz wybitny, ojczu. Nauczycielka-polonistka mówiła, że jeszcze żyje.

Ojciec: Żyje jeszcze. Ten Chlebek. Pisarz.

Syn: Tak, ojczu. Pisarz-Houellebecq.

Ojciec: A co on tam ten pisarz-Chlebek pisze?

Cisza.

Ojciec: No, gadaj mi tu, łebasie.

Syn: Nie wiem, ojczu.

Ojciec: Nie wiesz.

Syn: Nie wiem, co pisarz-Houellebecq pisze.

Ojciec prycha.

Ojciec: Głupku ty. Na konkurs o pisarzu-Chlebku idziesz, a nie wiesz, co pisarz-Chlebek pisze.

Syn: Bo tam nie trzeba było...

Ojciec: Łebasie.

Syn: Bo tam nie trzeba było wiedzieć, co pisarz-Houellebecq pisze.

Ojciec (prycha): A co niby trzeba było?

Syn: Trzeba się było nauczyć literować nazwisko pisarza-Houellebecqa.

Ojciec: Ojczu.

Syn: Ojczu.

Ojciec: Nauczyć się literować?

Syn: Tak, ojczu. Przeliterować Houellebecq.

Ojciec: Chlebek.

Syn: Tak właśnie, ojczu, Houellebecq.

Ojciec: To raczej prościzna, łebasie.

Cisza.

Ojciec: Chlebek.

Cisza.

Ojciec: To jak to się tam pisze? Ten Chlebek.

Syn: HA.

Ojciec: Ha, ha, ha.

Syn: HA, O, U.

Ojciec: Pies tak hau, hau szczeka, łebasie.

Syn: HA, O, U.

Ojciec: Hehe, haha, hau, hau.

Syn: HA, O, U, E, EL, EL.

Ojciec: EL.

Syn: EL, EL, E, BE, E, CE...

Ojciec: BE, E, CE.

Syn: BE, E, CE, KU.

Ojciec: Chlebek... To może ty jednak taki głupi nie jesteś?

Syn: Sam już nie wiem, ojczu.

Ojciec: Może nie. Choć na dwoje babka wróżyła.

Syn: Tak, ojczu.

Syn: Więc jak ci z tym pisarzem-Chlebkiem poszło, łebasie? Bo tu go żeś całkiem chyba dobrze przeliterował.

Ojciec patrzy wymownie na Syna. Syn zaciska dłonie w pięści.

Ojciec: No gadaj mi tu.

Syn: Prawie, ojcze.

Ojciec: A jednak.

Syn: Prawie.

Ojciec: Tak myślałem.

Syn: Nie poszło mi do końca, ojcze. Ale prawie, prawie.

Ojciec (*śmiejąc się*): Z tym, jakże mu tam, Chlebkiem. Pisarzem. Jak ci poszło.

Cisza.

Ojciec: No, łebasie?

Syn: Szło mi całkiem nieźle, ojcze, naprawdę.

Ojciec: Z Chlebkiem.

Syn: Tak, całkiem nieźle mi szło, ale.

Ojciec: Ale coś ci jednak nie poszło?

Syn: HA, O, U, E, EL przeliterowałem prawidłowo. I pamiętałem...

Ojciec: Tak?

Syn: I pamiętałem, ojcze, że na końcu jest CE-KU.

Ojciec: W tym Chlebku.

Syn: I to CE-KU najtrudniejsze mi się zawsze wydawało. Tego CE-KU się najbardziej bałem.

Powiedziałbym, że to była w Houellebecqu moja...

Ojciec: W Chlebku, łebasie?

Syn: Tak, ojcze, że to była moja w Houellebecqu pięta achillesowa.

Ojciec: Pięta achillesowa... Więc mówisz, łebasie, że prawie ci poszło. Prawie.

Syn: Gdyż po tym pierwszym EL, jest też EL drugie, ojcze.

Ojciec: W tym, jakże mu tam, Chlebku. Pisarzu.

Syn: Tak, ojcze, jest drugie EL i tak starając się pamiętać o tym CE-KU, o tym drugim EL zapomniałem.

Ojciec: Zapomniałeś.

Syn: Zapomniałem, ojcze, o tym EL drugim, tym, które jest tuż przed śródownym E w Houellebecqu.

Ojciec: W Chlebku o drugim EL zapomniałeś.

Syn: Tak, ojcze, zapomniałem i...

Ojciec z zainteresowaniem i zadowoleniem patrzy na Syna.

Syn: Zapomniałem i przegrałem. Ojcze.

Ojciec: Przegrałeś.

Syn: Przegrałem. Na tym drugim EL się wyłożyłem.

Ojciec: Tak, tak. Na drugim EL.

Syn: Gdyby tylko nie to drugie EL. Ojcze! Gdyby tylko nie to drugie EL!

Cisza.

Ojciec: Gdyby tylko...

Cisza.

Ojciec (*powoli i z naciskiem*): Zawsze jesteś o to jedno EL od doskonałości. Łebasie.

Cisza.

Ojciec: Zawsze.

Cisza.

Ojciec: EŁ, E, BE, A, ES, I, E.

Ojciec zaczyna się śmiać. Z początku cicho, aż wreszcie wybucha śmiechem demonicznym.

Ojciec: EŁ, E, BE, A, ES, I, E!

Ojciec podnosi i nachyla nad Synem i śmieje się obłąkańczo. Syn jeszcze bardziej kuli się w sobie.

Ojciec (krzyczy): Zawsze o to jedno EL od doskonałości! O to jedno pierdolone EL! (ciszej, sapiąc) Łebasie. (dyszy) Eł, E, BE, A, ES, I, E. O to jedno EL od doskonałości.

Ojciec milknie i po chwili siada przy stole, tak jak siedział na początku, wpatruje się w jakiś punkt nad skulonym Synem. Syna już nie widzi.

Na meble znów wyprojektowany zostaje obraz głębin oceanu.

Syn powoli podnosi się i wychodzi z kuchni. Słychać dźwięk otwieranych drzwi do jego pokoju, potem drzwi się zamykają.

W trakcie intermedium leci fragment utworu „Waiting for Cousteau” muzyka Jean-Michela Jarre’a.

Scena 3

Osoby: Chłopak ze stulejką (25 lat), Doktor, co ma motór (50 lat), Asystentka Bożenka (20 lat)

Gabinet lekarski, trochę kiczowaty w wystroju. Na ścianie tanie obrazy typu trybalny nadruk, a także afrykańska maska, tarcza i włócznia. Na drzwiach rozciągnięta skóra z leoparda.

Po prawej stronie stoi biurko Asystentki, po lewej Doktora. Pomiędzy nimi, na środku – parawan. Pukanie. Drzwi do gabinetu się otwierają. Wchodzi chłopak – ubrany nonszalancko; widać, że to artysta.

Chłopak: Dzień dobry.

Asystentka: Dobry.

Chłopak: Czy tutaj przyjmuje urolog?

Asystentka: Doktor.

Chłopak: Doktor?

Asystentka: Doktor, co ma motór.

Chłopak: Motór?

Asystentka: Taki wielki ma, proszę pana, ten motór. Nasz doktor.

Chłopak: Ach, motor.

Asystentka: Motór kawasaki. Olbrzymi taki. (*chichocząc, pokazuje rękoma*) I on mnie czasem sadza na ten motór. I wziu!

Doktor: Pani Bożenko.

Asystentka: Ależ panie doktorze. (*do Chłopaka*) A czy pan, proszę pana, ma motór?

Chłopak: Słucham?

Asystentka: No, motór. Na przykład kawasaki motór.

Chłopak: Nie, nie mam.

Asystentka: Jako to?

Chłopak: Nie interesuje mnie motór.

Asystentka: Nie?

Chłopak: Nie.

Asystentka: To co pana interesuje?

Chłopak: Sztuka.

Asystentka: Sztuka?

Chłopak: Sztuka. Malarzem jestem.

Asystentka: Ach, malarzem!

Chłopak: Dokładnie tak.

Asystentka: A czy z takiego malarzowania, proszę pana, jest potem motór?

Chłopak: Już pani powiedziałem, że nie obchodzi mnie żaden motór.

Asystentka (*szeptem*): Ależ proszę pana, każdy mężczyzna powinien mieć motór. Tak jak doktor. Co ma motór.

Chłopak: Mi motór niepotrzebny. Motor znaczy się. Motor!

Asystentka: To jak w takim razie pan się przemieszcza?

Chłopak (*opryskliwie*): Ja latam.

Asystentka: Ach, pan lata.

Cisza.

Asystentka: Się pan nie stresuje, proszę pana. Pan doktor zaraz pana zbada. Fachowo pana zbada. I będzie leczył. Super profesjonalnie.

Chłopak siada przed biurkiem Asystentki.

Asystentka: Dokument tożsamości pana malarza poproszę.

Chłopak kładzie dowód na stole.

Asystentka: Chujek? A nie, przepraszam. *(śmieje się)* Już poprawiam.

Doktor: Pani Bożenko!

Asystentka: Takie podobne nazwisko, panie doktorze. Łatwo pomylić.

Chłopak: Nic się nie stało.

Asystentka pisze coś na komputerze.

Asystentka: Dobrze, to teraz idzie pan do doktora.

Chłopak podchodzi do biurka, przy którym siedzi Doktor.

Doktor: Proszę usiąść. *(wskazuje na krzesło przed biurkiem)* Z czym pan szanowny do mnie przychodzi?

Chłopak *(odchrząkuje, obraca się niepewnie, patrzy w stronę Asystentki):* No więc.

Doktor: Tak, młody człowieku?

Chłopak: No więc ja. To znaczy mój... penis.

Doktor: Pański królewicz?

Chłopak: Królewicz?

Doktor: Królewicz.

Chłopak: Ach tak, królewicz. A więc mój penis-królewicz. To znaczy, skóra na moim penisie.

Doktor: Proszę kontynuować.

Chłopak: Skóra na moim penisie, panie doktorze. Ona nie odchodzi.

Doktor: Hm.

Chłopak: To znaczy, trochę odchodzi, ale nie odchodzi do końca. *(znowu spogląda w stronę Asystentki, która wyraźnie podsłuchuje rozmowę i czasem coś notuje)*

Doktor: Napletek.

Chłopak: Napletek nie odchodzi.

Doktor: Z królewicza. Tak. Rozumiem, że chodzi o to, iż napletek pański nie da się do końca odwieść. *(wykonuje ruch obrazujący problem).*

Chłopak: Tak, o to właśnie chodzi. Zwłaszcza, wie pan, panie doktorze... *(ścisza głos)* Kiedy stoi.

Doktor *(głośno):* Kiedy ma pan erekcję, nie da się do końca odwieść napletka z królewicza.

Chłopak *(kiwa głową, mówi ściszym głosem, na jednym tchu):* Prezerwatywy wtedy nie mogą dobrze założyć. A nawet jak założę, to ona się ześlizguje.

Doktor: Rozumiem. *(uśmiecha się wyrozumiale)* Proszę się rozebrać.

Chłopak: Do naga?

Doktor: Przecież muszę pana zbadać. *(wskazuje na parawan)* Zapraszam.

Chłopak: Oczywiście.

Chłopak przechodzi za parawan i zaczyna zdejmować ubrania. Z widowni widać tylko jego cień. Rozbiera się niepewnie. Kiedy zostaje już w samej bieliźnie, spogląda na Asystentkę, która bezpardonowo mu się przygląda.

Chłopak: A czy ta pani...

Doktor: Tak?

Chłopak: Czy ta pani tu będzie, jak ja się...

Doktor: To asystentka.

Asystentka (*zalotnie*): Profesjonalna asystentka Bożenka, proszę pana. (*groźnie*) A oto i doktor, co ma motór!

Chłopak: Motór...

Asystentka: Kawasaki motór!

Doktor: Proszę się położyć na kozetce.

Chłopak kładzie się na kozetce, która znajduje się za parawanem. Doktor siada obok niego na stołku i bierze w dłoń jego penis. Przez parawan widać tylko ich cienie.

Doktor: Piękny królewicz.

Chłopak: Dziękuję. To znaczy... (*odchrząkuje, zdezorientowany*)

Asystentka podchodzi do nich.

Asystentka: Ależ kawał chuja!

Doktor: Pani Bożenko!

Asystentka: Przepraszam. Chciałam powiedzieć: potężny królewicz. (*zostaje i przygląda się badaniu*)

Doktor: Zdecydowanie. Wspominał pan, że ma pan problem z odwodzeniem napletka. (*kilkukrotnie przesuwa napletkiem w górę i w dół*)

Chłopak: Tak.

Doktor (*kontynuuje badanie*): Rzeczywiście, napletek nie przechodzi do końca przez żołądź.

Asystentka: Ojej.

Doktor: Klasyczna stulejka.

Chłopak: Stulejka.

Asystentka: Stuleja, że hej!

Doktor: Wędzidełko też trzeba by podciąć. Jest za krótkie.

Asystentka: Ach!

Chłopak: Podciąć?!

Doktor: Takie schorzenia leczy się chirurgicznie.

Chłopak: Myślałem, że dostanę od pana zestaw ćwiczeń, który rozwiąże problem.

Doktor: Nie, młody człowieku. Pański królewicz wymaga zabiegu. Jeśli, oczywiście, zdecyduje się pan na takie rozwiązanie.

Asystentka: Potężny królewicz...

Chłopak: A pan doktor co by radził?

Doktor: To znacznie podniesie komfort pańskiego funkcjonowania.

Asystentka (*chichocze*): Doktor to się zna.

Chłopak: Ma pan na myśli...

Doktor: Na myśli mam zarówno komfort fizyczny, związany z aktywnością seksualną, jak i komfort psychiczny.

Chłopak: Psychiczny?

Doktor: Że tak powiem, pańskie funkcjonowanie psychospołeczne. Zmieniłoby to pana status egzystencjalny.

Chłopak przygląda się ze zdziwieniem Doktorowi.

Doktor: Pozwoli pan, młody człowieku, że zapytam w ten sposób. Czy kiedy miał pan lat około dziesięciu, ojciec pański zabrał pana do lasu?

Chłopak: Nie rozumiem.

Doktor: Czy pański ojciec zabrał pana do lasu i tam porzucił i pan potem przez trzy dni błąkał się, ledwie żyw ze strachu i zmęczenia, szukając drogi powrotnej? A kiedy już pan dom odnalazł,

otworzyła panu matka, na co pan powiedział: Mamo, to ja, wróciłem. A ona panu odpowiedziała: Nie poznaję cię, odejdz. I odtąd musiał pan mieszkać już tylko pośród mężczyzn.

Cisza.

Doktor: Albo czy pański ojciec powiedział panu, że pan umarł i traktował jak nieżywego, aż wreszcie po kilku tygodniach pozwolił panu zmartwychwstać i pan rzeczywiście zmartwychwstał, ale już jako ktoś inny? Czy też może pański ojciec wychłostał pana gałęzią juki i wetknął panu we włosy orle pióro? Czy dał panu dotknąć warkotki? Czy trzykrotnie napluł panu w usta?

Cisza.

Doktor: Czy pański ojciec wybił panu ząb? Albo odciął ostatni paliczek małego palca? A może wyciął fragment ucha? Bliznę ma pan może jaką po ojcu?

Cisza.

Chłopak: Mój ojciec nie jest okrutnikiem.

Doktor: Może właśnie jest.

Chłopak: Co pan mówi.

Doktor: Czy pański ojciec nauczył pana odróżniać męską energię od agresji? Siłę od przemocy? Ciepło od uległości? Czy pański ojciec nauczył pana, jak traktować kobiety i mężczyzn? Jak myśleć i mówić o sobie i innych. Jak postępować, aby nie zapaść się w próżnię? Czy pański ojciec nauczył pana być mężczyzną?

Chłopak: Trudno powiedzieć...

Doktor: W takim razie ja to zrobię.

Cisza.

Doktor: Proszę się nie obawiać, nie utnę za dużo.

Chłopak: Nie.

Doktor: A tam.

Chłopak: Ja nie chcę.

Doktor: Pani Bożenko, proszę przygotować bupiwakainę i narzędzia chirurgiczne.

Asystentka: Już się robi, panie doktorze.

Chłopak: Ale ja nie chcę!

Doktor: I skórę leoparda.

Asystentka: O tak!

Asystentka skacze radośnie i idzie włączyć stereo. Rozbrzmiewa muzyka trybalna.

Chłopak: Wychodzę. (*podnosi się*)

Doktor: Leż.

Chłopak: Wychodzę!

Doktor: Leż!

Chłopak: Ja chcę stąd wyjść. Ratunku! Ja chcę do mamy!

Doktor: Ja pierdolę. (*uderza Chłopaka w twarz*)

Chłopak łka. Odzywa się dopiero po chwili.

Chłopak (szepcem): Ja chcę do mamy.

Doktor: Mało ci?

Asystentka przynosi skórę leoparda, maskę leoparda, strzykawkę i nóż, igłę i dratwę.

Doktor: To co?

Cisza. Doktor ubiera skórę i maskę leoparda.

Doktor: No, co będzie?

Chłopak prostuje się na kozetce.

Doktór: Pani Bożenko, muzyka głośniej. I maskę proszę ubrać.

Asystentka idzie zgłosić muzykę. Ubiera maskę czarnej pantery. I tańczy z boku.

Doktór: Najpierw podam panu znieczulenie miejscowe w formie zastrzyku w nasadę penisa.

Chłopak wybuch płaczem i próbuje wstać, ale po chwili kładzie się z powrotem.

Doktór: Następnie przystąpię do zabiegu usunięcia napletka.

Doktór staje nad pacjentem.

Doktór: Nawiązanie do najdawniejszych dziejów plemienia i jego mitycznych początków, dzięki interwencji sił nadprzyrodzonych, odnowi siły witalne. Okaleczenie symbolizuje śmierć – odejście formy dziecięcej, głupiej i aseksualnej. Wkrótce narodzisz się ponownie, w dojrzałej postaci, otwartej na poznanie, seksualność i pełnię życia¹.

Asystentka (*rozmarzonym głosem, cały czas tańcząc*): Już niedługo będzie pan, panie malarz, mężczyzną. Królewicza odmienionego pan nie pozna. Nie będzie już pan latać. Zacznie pan jeździć. Kupi pan motór. Może nie od razu kawasaki motór, ale jakiś motór na pewno. Zium! I malarzować pan będzie inaczej. Wielkie obrazy wielkim pędzlem będzie pan malarzował. Malarz co ma motór. Nie, to trochę nie brzmi. Ale coś się wymyśli.

W trakcie intermedium leci piosenka „I'm On Fire” piosenkarza Bruce'a Springsteena.

¹ Fragmenty z *Inicjacje, obrzędy, stowarzyszenia tajemne*, Mircea Eliade, tł. K. Kocjan, Znak, Kraków 1997

Scena 4

Osoby: Intelktualista-psycholog (30 lat), Dziewczyna o cipce przypominającej malutkiego nietoperza (25 lat), kobiecy chór

Intelktualista – golf, ciemna, dopasowana marynarka, ciemne, dopasowane spodnie, skórzane buty dobrane pod kolor ubrań, okulary, doktor psychologii, elegant. Wygłasza monolog.

Intelktualista: Jej cipka wyglądała jak malutki nietoperz. Miała długie, mięsiste wargi sromowe w kolorze burgundowym. Kobiety z wydatnymi wargami sromowymi są w łóżku fenomenalne, nieokiełznane, a te o cipkach płaskich, strukturalnie wyheblowanych – uległe i jak z drewna. Wiem to z doświadczenia i czasem przedstawiam kobietom jako naukowo dowiedzioną teorię. Jeśli chcesz, mówię, zbadam cię, nic mi nie musisz pokazywać, wystarczy, że dotknę i już będę wiedział. Damscy ludzie są ciekawscy, rozchylają nogi, a ja wsuwam moją diagnostyczną dłoń między ich uda i zachowując pełną powagę, obracam w palcach wargi sromowe. No nieźle, mówię, naprawdę super, a czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym, dla zupełnej pewności, zbadał palcem środkowym reaktywność twojej pochwy?

A więc ona miała cipkę, która wyglądała jak malutki nietoperz. Kiedy przyciskałem go językiem i zaczynałem poruszać nim na boki, bezradnie trzepotał skrzydełkami, które plaskały o moją brodę. Czasem przyklejały mi się do skóry jak ubranie na deszczu. Lubiłem rozszerzać tę jej szparkę palcami, takim ruchem, jakim się na telefonie powiększa obraz. Im bliżej środka, tym bardziej była krwistoczerwona, karminowa, a potem już tylko czarna, nieprzenikniona. Czeluść rozwierała się i zamykała, rozwierała i zamykała. Jak jamochłon. Jak paszcza, która domaga się ofiary. Szczególnie lubiłem ten pulsacyjny ruch, kiedy znajdowałem się w środku.

– Ma pani śliczną cipkę – mówiłem jej czasem, kiedy robiłem jej intelektualną minetę, czyli bawiłem się jej szparką, jednocześnie prowadząc dialog. – Mógłbym wleźć w nią cały, okopać się tam i już nigdy nie wychodzić.

Wtedy ona pytała:

Dziewczyna (z offu): A co konkretnie się w niej panu podoba?

Intelktualista: A wtedy ja rozprawiałem o jej wargach sromowych, które na tę okazję przyrównywałem do skrzydeł bezbronnego motyla.

Czasem mówiłem jej też:

– Ma pani świetne nogi.

Wtedy ona podawała mi jedną z nich, łaskawie. Pytała:

Dziewczyna (z offu): A co się w nich panu podoba?

Intelktualista: I ja jej wtedy robiłem krótki wykład na temat wspaniałości jej zadnich łąpek, a dla lepszego zobrazowania przytaczanych argumentów, lokalizowałem wszelkie ich zalety bezpośrednio na trzymanym w dłoni okazie. Słuchała jak studentka oszołomiona elokwencją wykładowcy. Uśmiechała się chytrze, kocio.

Pamiętam, jak powiedziała mi kiedyś, że jest perfekcjonistką, na co ja jej odpowiedziałem, że perfekcjonistami to musieli być jej starzy. Była idealna.

Wchodzą ubrane w czarne golfy kobiety. Mają skrzydła, które są tak naprawdę wielkimi wargami sromowymi (wachlują się nimi czasem, zupełnie jak słoń uszami). Nad głowami mają trzecie oko, które jako żywo przypomina pokaźnych rozmiarów łechtaczkę.

Kobiety stają półkolem za Intelektualistą. Wokalizują pieśń na modłę kościelną. Kiedy milkną, Intelektualista kontynuuje monolog.

Intelektualista: W liceum nie miałem dziewczyny. Choć gdybym tylko chciał, miałbym ich na pęczki. Elokwencja, inteligencja i umiejętności społeczne to zawsze były moje mocne strony. A do tego, choć klasycznie przystojny nie jestem, to jednak urodę mam interesującą. Kobiety zaś przy wyborze mężczyzny nie kierują się estetyką, ale ciekawością.

Damscy ludzie są jak kury, chodzą po świecie kiwając głowami, patrzą i myślą: a co to jest, a o co w tym chodzi, a co ja mogę z tego mieć? Ciekawość to dla nich pierwszy stopień do nieba.

W liceum uważałem dziewczyny za kretynki, a zabieganie o ich uwagę wydawało mi się czymś niegodnym. Ja czytałem książki, książki to był mój ocean, a słowa były rybami, które łowiłem.

Jednak pewna część mnie pozostawała poirytowana, sfrustrowana, gruntownie niedopieczona. Może wiązało się z to ze stłumioną popędowością, a może to postępu domagał się imperatyw społeczny, który każe budować sobie pozycję w grupie poprzez wyrywanie i posuwanie ślicznych panienek.

Aby ten dysonans zredukować, za tę sytuację winiłem... dziewczyny. Jak wiele te idiotki tracą, nie próbując mnie zdobyć, myślałem. Widziałem ich ciekawskie spojrzenia. Pragnęły mnie. Instynkt kazał im jednak pozostawać biernymi. Gardziłem nimi. Ze wzajemnością.

Kiedy na początku studiów przeczytałem *Nieznośną lekkość bytu*, zapragnąłem być jak Tomasz. Mężczyzna inteligentny i z pozycją, który nie stronił od kobiet, co wcale jednak jego godności nie uwłaczało. Dymał regularnie, w rygorystycznych odstępach czasu – jedna kochanka na każdy dzień tygodnia – i nigdy nie zostawał na noc. I ja tak dymać zdecydowałem.

Utrzymywanie kontaktów seksualnych z wieloma partnerkami eliminowało ryzyko zakochania się, czyli bezradności. Pozwalało przy tym wyrzucić zemstę na kobietach za to, że zamiast mierzyć wysoko, czyli starać się o mnie, sięgały po miernoty, czyli po innych. Uwodziłem je, a kiedy się do mnie przywiązywały, trzymałem je na dystans. Na końcu sznurka przywiązanego do kija nie wisiła marchewka. Na końcu sznurka wisiła moja podobizna.

Kobiety wokalizują pieśń na modłę kościelną. Kiedy milkną, Intelektualista kontynuuje monolog.

Intelektualista: Kiedy weszła, powiedziałem jej, że jest nienormalna. Mogła przecież trafić na jakiegoś bydlaka, który ją potnie na kawałki i wyniesie w worku. Umówiliśmy się przez aplikację randkową, a że akurat padało, to zamiast spotkać się w centrum, przyszła do mnie. Na herbatę.

Podeszła do regałów z książkami. Przeglądała je tak, jakby ją naprawdę interesowały. Patrzyłem na jej delikatne rysy, na blond włosy zaczesane *na Maryjkę*, na jej idealną figurę (szczupła z dużym cycem, mój ideał), na doskonale proporcjonalną pupę i na te świetne giry, spektakularny fundament dla wspaniałego ciała. Miała uśmiech jak z reklamy: ciepły i prowokujący. Byłem porażony jej urodą.

– Czy to pana książka, panie profesorze? – zapytała, wyciągając *Empiryczną weryfikację uwarunkowań schematu rozstań i powrotów*.

Wiedziała, że jestem psychologiem i że nie mam tytułu profesora.

Schemat rozstań i powrotów nieformalnie nazywa się w środowisku psychologicznym *schematem spierdalaj, ale chodź*. Polega na tym, że człowiek pragnie zbliżyć się do drugiej osoby, ale kiedy mu się udaje i robi się zbyt intymnie, ucieka. A potem wraca. I znowu ucieka. I tak w kółko.

Tak, to ja napisałem tę książkę.

Usiedliśmy. Opowiadała, że kończy psychologię. Interesował ją Lowen i kwestia odczuwania emocji w ciele. Nie znoszę Lowena, jego koncepcja to rzadkie gówno. Podziwiałem jednak jej zapał. Sprawiała wrażenie radosnej. Promieniowała kobiecością. Co ty tu w ogóle robisz? – zastanawiałem się. Przyszło mi naraz na myśl, że ta historia mogłaby się potoczyć inaczej. Że mógłbym z nią zbudować coś... autentycznego i trwałego.

Zapytała o moje podróże, a ja wymieniłem jej stypendia, na których byłem. Berkley, Oksford, Lima, Szanghaj i niedawno Aberdeen.

Dziewczyna (z offu): Widział pan kawał świata!

Intelektualista: A pani nie podróżuje?

Dziewczyna (z offu): Nie. Moja sytuacja jest dość złożona.

Intelektualista: Złożona?

Dziewczyna (z offu): Ja mam dziecko.

Intelektualista: Więc tu był haczyk. Widziałem po jej spojrzeniu, że zauważyła, jak uśmiech spłynął mi z twarzy. Mimo wszystko poszliśmy do łóżka. A było to łóżko wspaniałe.

Kobiety wokalizują pieśń na modłę kościelną. Kiedy milkną, Intelektualista kontynuuje monolog.

Intelektualista: Kobiety bardzo łatwo uzależniają się od dobrego seksu. Już pierwszy męski dotyk to magia i jednocześnie pułapka, strzał oksycocyny, po którym nie ma odwrotu. Pierwszy dotyk to wirus: wdiera się w głąb damskiego ciała i się tam zagnieżdża. Kobieta jest jego nosicielką już do końca życia. Nigdy nie będzie się w stanie wyleczyć, może tylko łagodzić objawy.

To właśnie świetnym seksem przywiązuję kobiety do siebie. A potem nimi manipuluję. Powiedziałem jej o tym. Ucieszyła się, że jestem szczerzy i podziwiała moją samoświadomość. Tymczasem ja poczułem, że z nią wcale nie chciałem w ten sposób postąpić.

Kiedy następnego dnia obudziłem się wcześniej od niej i zobaczyłem, jak z jej ust spływa nitka śliny, zrobiło mi się tak... ciepło. W moim umyśle powstała szczelina, przez którą wpadło światło i rozproszyło ciemności. Czyżbym coś... poczuł? Szybko się z tego otrząsnąłem. Wsunąłem rękę pod kołdrę i włożyłem jej palec środkowy w odbyt.

Kobiety wokalizują pieśń na modłę kościelną. Kiedy milkną, Intelektualista kontynuuje monolog.

Intelektualista: Pamiętam, że pierwszego wieczora miała na sobie bluzkę z wycięciem na plecach. Kiedy się poruszała, widziałem, jak pod jej skórą przesuwały się łopatki i kręgosłup. Kiedy ją zdjęła, pomyślałem, że życie potrafi być naprawdę łaskawe.

Pamiętam, jak podczas śniadania na tarasie, wykrzyknęła:

Dziewczyna (z offu): Miałam tyle orgazmów!

Intelektualista: Potem, po prysznicu, naga poszła do salonu, tak, że drugie pół osiedla, które jej nie usłyszało, musiało ją zobaczyć. Była mocno terytorialna, ta panna ślicznotka.

Pamiętam, jak przed wyjściem szukała bielizny. Spojrzałem pod łóżko i wyciągnąłem stamtąd stringi. Podałem jej. Powiedziała, że to nie jej. Do teraz nie wiem, do kogo należały.

Pamiętam, że kiedy odprowadzałem ją do samochodu, wszyscy się na nią gapili. Powiedziałem: Czuję się, jakbym wyrwał najlepszą dupeczkę na osiedlu. A ona się kocio uśmiechnęła.

Pamiętam, jak mi szeptała.

Dziewczyna (z offu): Lubię, jak mnie pan pieprzy.

Intelektualista: Albo.

Dziewczyna (z offu): Ależ ma pan sprytny język.

Intelektualista: I jeszcze.

Dziewczyna (z offu): Lubię, jak pan mówi.

Intelektualista: Bo kiedy ją pieprzyłem, mówiłem do niej. Na przykład: Pani ma w sobie coś z kotowatych. Albo: Pani jest jedną z takich kobiet, za seks z którą mężczyźni daliby się zabić. I jeszcze: Pani jest taka kontrolująca, ale kiedy jestem w pani, zgadza się pani na bezbronność. Wtedy ona oblizywała się jak dziecko po ciastku.

Pamiętam, że gdy zaczynaliśmy się całować, przybliżała się do mnie, a kiedy nasze usta już prawie się stykały, odsuwała głowę. I znowu. I jeszcze raz. Mówiłem: To wspaniała egzemplifikacja schematu *spierdalaj, ale chodź*.

Mówiła.

Dziewczyna (z offu): Przy panu otworzyłam się seksualnie. Dawniej seks oralny nie sprawiał mi przyjemności. Robiliśmy rzeczy, jakich wcześniej nie próbowałam.

Intelektualista: Z pamięci wyliczam: mineta z palcem w odbycie, rżnięcie na stojąco od tyłu pod prysznicem z twarzą przyciśniętą do ściany, seks analny na stołku barowym. Myślałem czasem: nie róbmy tego, bo zabijemy wszystko, co może być między nami. I tym bardziej chciałem ją bezosobowo pieprzyć. Ją też to kręciło.

Pamiętam, że za każdym razem witaliśmy się tak, jakbyśmy się widzieli po raz pierwszy, a potem musieliśmy od nowa uwodzić się i przełamywać dystans. W kółko tańczyliśmy ten sam taniec.

Zaczęła do mnie dzwonić. Rozmawialiśmy o naszych troskach i radościach. Jak przyjaciele.

Pamiętam, że kiedy wychodziła z mojego mieszkania, spadałem w otchłań. Pustka mojego życia przez kontrast z ciepłem, które właśnie traciłem, rosła do niewyobrażalnych rozmiarów. Kiedy odjeżdżała, chciałem się zabić.

Kiedyś słyszałem, że pustkę da się zapełnić tylko drugim człowiekiem. Tak jakby człowiek był czymś, a wszystko inne – niczym.

Nie róbmy tego, myślałem, wszystko zniszczymy. A potem spuszczałem się jej na twarz.

Pamiętam, jak raz kupiliśmy prosecco i oglądaliśmy *The Office*. Potem opowiedziała mi o swojej córeczce. A ja jej o moich planach naukowych.

Dziewczyna (z offu): Ależ pan ma kojący głos.

Intelektualista: Szepnęła i położyła mi głowę na ramieniu. Na chwilę zasnęliśmy. Nigdy czegoś takiego w życiu nie doświadczyłem. I nigdy w życiu nie byłem bardziej przerażony.

Kobiety wokalizują pieśń na modłę kościelną.

Wchodzi Dziewczyna o cipce przypominającej małego nietoperza. Ubrana w biały podkoszulek na ramiączkach i białe majtki.

Kobiety milkną.

Intelektualista (do publiczności): Nasze pierwsze zerwanie wyglądało następująco.

Intelektualista: A może byśmy się spotkali na kawę u ciebie w Trzebnicy?

Dziewczyna: Co?

Intelektualista: Tak tylko rzuciłem.

Dziewczyna: Ale czy tak jak teraz nie jest dobrze?

Intelektualista: Nie chcesz się tam ze mną pokazać.

Cisza.

Dziewczyna: Słuchaj, ja mam tam wszystko ułożone. Z ojcem mojego dziecka jesteśmy w dobrych relacjach. A w okolicy wszyscy mnie znają.

Intelektualista: Jasne.

Dziewczyna: Może tutaj, we Wrocławiu, wyskoczmy któregoś wieczora na drinka?

Intelektualista: Czemu nie?

Dziewczyna: To jest miłe, że tak sobie nawzajem dajemy różne rzeczy. Ciepło. Bliskość. I nie tylko. W sumie to by było super, żeby mieć tak na co dzień.

Intelektualista: Ale przecież ty nie chcesz ze mną być. Przyjeżdżasz na weekend ze swojej twierdzy, do której ja nie mam wstępu.

Dziewczyna: Ty też nie chcesz ze mną być.

Cisza.

Intelektualista: Nie wyobrażam sobie wejścia w relację z kobietą, która ma dziecko.

Namiętny pocałunek.

Intelektualista: Podnieca cię, kiedy jesteśmy blisko, ale jednocześnie daleko. To dlatego nie przeszkadzały ci tamte stringi.

Dziewczyna: To dlatego lubisz mnie wulgarnie pieprzyć.

Intelektualista: To nie ma sensu.

Pocałunek z macanką.

Dziewczyna: Mam okres, proszę pana.

Intelektualista: To mi nie przeszkadza.

Podchodzą dwie kobiety w golfach. Jedna trzyma transparent: „Spierdalaj”, druga: „Ale chodź”. Za chwilę odchodzą.

Intelektualista (do publiczności): Potem wszystko wokoło było we krwi, jakby kogoś zarżnięto. Pierdoliliśmy się tak, jakbyśmy chcieli się nawzajem wypatroszyć z tego, co się wewnątrz nas zaległo.

Intelektualista (do Dziewczyny): To nie ma sensu.

Dziewczyna płacze.

Intelektualista: Oszukujemy sami siebie.

Dziewczyna: Ale mi z tobą tak dobrze.

Intelektualista: Mi z tobą też. Tylko nie jestem w stanie znieść pustki.

Dziewczyna: Nie mówiłam ci tego, ale wieczorami, kiedy nie ma cię przy mnie, płaczę.

Intelektualista: Zastawiliśmy na siebie pułapki. Tu nie ma się jak ruszyć.

Dziewczyna: Ale jestem podniecona.

Intelektualista: To jest tym bardziej podniecające, im bardziej puste.

Dziewczyna: Chcę, żebyś mnie przytulił.

Przytulenie.

Dziewczyna: Chyba będziemy się żegnać.

Intelektualista: Na to wygląda.

Dziewczyna: Ależ jest mi smutno. Nie wiedziałam, że tak mnie to dotknie.

Intelektualista: Mi też jest smutno.

Dziewczyna: No cóż. Życzę panu wszystkiego dobrego.

Intelektualista: Pani wie, że i ja pani życzę jak najlepiej.

Dziewczyna: Wiem, panie profesorze.

Intelektualista (do publiczności): Kiedy wyszła, płakałem. Ze smutku. I bezsilności. Traciliśmy szansę na coś wielkiego. A ja sam siebie nie byłem w stanie przekonać, że warto o to powalczyć.

Dziewczyna odchodzi. Kobiety wokalizują pieśń na modłę kościelną. Kiedy milkną, Intelektualista kontynuuje monolog.

Intelektualista: Potem wracaliśmy do siebie i rozstawaliśmy się kilka razy. Wpadliśmy w chomiczy kołowrotek.

Od kilku tygodni już do niej nie piszę, ani nie dzwonię. Boję się, że znowu przyjedzie i da mi wszystko: ciepło i siebie. A następnego dnia obudzę się w pustym mieszkaniu. Ja już wolę niczego nie mieć. Ja chyba nie potrafię mieć czegokolwiek. Jest we mnie wiele nienawiści. I wiele nowych powodów do zemsty na kobietach.

Piszę ostatnio przez aplikację z taką jedną lalką. Czasem ze zdjęcia twarzy można wywnioskować, jakie dziewczyna ma wargi sromowe. Odbyt zbudowany jest z tej samej tkanki, z której zbudowane są usta. A z odbytu do szparki droga niedaleka. Ta nowa panienka ma potencjał na naprawdę fenomenalną cipkę.

W trakcie intermedium leci piosenka „Poles apart” zespołu muzycznego Pink Floyd.

Scena 5

Osoby: Mężczyzna (30 lat)

Mężczyzna ubrany jest w odzież górską. W jednej ręce trzyma zniszczony czekan, w drugiej aparat sprzed trzydziestu lat (analogowy) – też mocno zniszczony. Obok niego stoi pionowo drewniana skrzynia transportowa, trochę wyższa od przeciętnego mężczyzny. Została wwieziona przez Mężczyznę na ręcznym wózku transportowym.

W trakcie monologu Mężczyzny wyświetla się za nim zapętlony pokaz zdjęć z aparatu, który znalazł jego wuj.

Zadzwoił wuj. Ze Szwajcarii. *Bonjour*, wuju. Nie słyszałem go lata całe. Powiedział, lodowce topnieją. *Oui, oui, mon oncle*, odpowiedziałem, katastrofa klimatyczna zabije nas prędzej czy później. Nie o to, rzecz jasna, mu chodziło. Przyjedź, chłopcze, powiedział. Przyjedź jak najszybciej.

Jak na trzydzieści lat za granicą, całkiem nieźle mówi po polsku, pomyślałem.

Trzydzieści lat. Czas to jednak pojęcie względne. Jeśli w ogóle coś takiego jak czas istnieje.

Przyjadę, powiedziałem.

A potem uświadomiłem sobie, że za tydzień skończę trzydziestkę. Ta podróż do Les Diablerets to taki specyficzny prezent na urodziny. Bardzo specyficzny. I symboliczny.

Poszukam jakiegoś połączenia, wuju.

Matka się rozplakała. Jezu, tylko tego brakowało, lamentowała. Złapała mnie za ramię. Nie jedź, powiedziała, zostaw to. Nie utrzymywała z wujem kontaktu. Kiedy przyjeżdżał do Polski, zawsze znajdowała jakąś wymówkę, żeby się z nim nie zobaczyć. Ja spotykałem go tylko czasem, u dziadków. Mojego wuja – brata bliźniaka mojego ojca.

Tego samego dnia kupiłem buty, spodnie i kurtkę wiatroszczelną. Nie miałem takich ubrań. Nie lubię gór. Góry kojarzą mi się ze spadaniem i śmiercią. Z ciemnością, w której nie ma nic, nawet okruszków światła. Nigdy też nie byłem na lodowcu.

Wuj zapłacił za bilety. Najpierw samolot do Genewy, potem pociąg: przesiadki w Lozannie i Aigle. Okropnie upierdliwe połączenie.

Stacja w Les Diablerets przypomina te z kolejowych makiet – uroczy budynek ze spadzistym dachem. Taka jest zresztą cała ta miejscowość: urocza do zarzygania. Wszędzie domki, w większości z drewna. Głównie pensjonaty dla narciarzy. Na zdjęciach z lotu ptaka kurort wygląda tak, jakby ktoś rozrzucił po zielonym wzgórzu czekoladowe draże. Albo ciała.

W jednym z tych domków mieszka mój wuj: przewodnik górski, instruktor narciarstwa. Z wykształcenia inżynier budownictwa. Ale pracy w zawodzie nigdy na dobre nie podjął. Kiedy miał trzydzieści lat, zostawił wszystko, spakował się i przeprowadził do Les Diablerets.

Powiedział wuj: Lodowce topnieją, chłopcze. Lód oddaje to, co zabrał.

Pomyślałem: To tak, jakby lód był żywą istotą, która intencjonalnie wyciąga po coś lub po kogoś swoje łapska. Albo lepiej – jęzor. Traktowanie lodu jak żywej istoty to usprawiedliwienie. To odwracanie kota ogonem. Nie powiedziałem tego na głos.

Nie jedź, mówiła matka. To nic nie zmieni.

Wuj odebrał mnie ze stacji. Słoneczny dzień, środek lipca. Wyobrażałem sobie, że cała ta miejscowość będzie pokryta śniegiem. Tymczasem wokoło zieleń, szum strumyków, natrętne owady. Dopiero w oddali, na szczytach gór widać było lodowy jęzor.

Powiedział wuj: Dzisiaj odpoczniesz po podróży. Jutro z rana ruszymy na Tsanfleuron.

Odpowiedziałem: Dobrze, wuju.

Wuj nigdy mi nie powiedział, jak to się stało. Raz tylko, kiedy upił się na wigilii u dziadków, zaczął coś mówić o szczelinie lodowca. I o mgle. Krzyczał: Ja tam nie wejdę? Ja nie dam rady? Ja, kurwa, nie dam rady?! I jeszcze: No i po co lina?! Ludzie po pijaku i tuż przed śmiercią mówią dziwne rzeczy, pomyślałem wtedy.

Wiedziałem tylko, że to był ich wypad na trzydzieste urodziny. Spontaniczny. Dlaczego akurat do Les Diablerets? Nie mam pojęcia. Wuj chodził już wcześniej po górach. Może znał ten lodowiec. Po prostu wsiedli w samochód i pojechali.

Ja urodziłem się kilka tygodni wcześniej. Zawsze myślałem, że mój ojciec zdążył się mną już trochę zmęczyć i musiał odpocząć.

Powiedział mi kiedyś wuj: Straciłem tam połowę siebie.

Ja mu nic nie odpowiedziałem, bo nie wiedziałem, co straciłem. Nie mogłem pamiętać ojca. Jego brak od zawsze był częścią mnie. Jego brak był mną.

Nie jedź, powiedziała matka. Nie chcę i ciebie stracić. On znowu zadzwoni, tak jak zadzwonił wtedy. Powie: Wróciłem z gór sam. Tamtym głosem. Nie jedź, błagam cię.

Całe życie marzyłem, żeby tam pojechać, mamo, odpowiedziałem. Zdziwiłem się swoimi słowami, bo do tej pory w ogóle o tym nie myślałem.

Wuj przygotował całkiem smaczny obiad. Kiedy jedliśmy, nie wiedziałem, o czym z nim rozmawiać. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Sprawiała wrażenie wykutej z lodu.

Kiedy skończyliśmy, powiedział: Znalazłem tam aparat. Zdjęcia jakimś cudem udało się wywołać.

Na zdjęciach zobaczyłem dwie kopie siebie. Ja w samochodzie, ja w pensjonacie górskim, ja pijący wódkę, ja grający na gitarze, ja słuchający boomboxa, ja w pełnym ekwipunku górskim, ja na czapie lodowca. Ja. To jestem ja, ja, ja, myślałem. Czas nie istnieje. Wszystko dzieje się w jednej chwili.

Na ostatnim zdjęciu niebo widziane przez szczelinę o czarnych krawędziach. Powrót do łona.

Nie jedź, powiedziała matka. Tylko tego brakowało. Zostaw to.

Trzydzieści lat temu, po tym, kiedy ojciec zaginął, wuj przeprowadził się do Les Diablerets. Dopóki nie odnajdzie się ciała, jest szansa. Czas to pojęcie względne. Może łudził się, że ojciec gdzieś poszedł i za jakiś czas po prostu spotkają się w górach.

Powiedział mi kiedyś: Jestem mu to winien. Miałem jednak wrażenie, jakby mówił: Jestem to winien tobie.

Lód oddaje, co zabrał.

Następnego dnia pojechaliśmy samochodem do dolnej stacji kolejki Gondola Glacier 3000. Przepuścili nas bez biletów. Wiedzieli. W kabinie nie rozmawialiśmy. Raziło mnie słońce. Miałem poczucie, że taka pogoda to dzisiaj coś niewłaściwego.

Wyobrażałem sobie, że szczyt góry będzie przypominał główkę od szpilki, na której ledwie da się stanąć. Tymczasem wyglądał jak park rozrywki. Były tam wyciągi narciarskie, tor saneczkowy, miejsce do skoków na spadochronie. Były ścieżki do hikingu i punkt, z którego widać panoramę Alp.

Śnieg był szary. Miał konsystencję topniejącej chlapy. Lodowcowi brakowało majestatu. Nie budził grozy.

Wuj wyjął z plecaka dwie pary raków. Najpierw szliśmy turystycznym szlakiem. Potem z niego zesliśmy.

Wuj powiedział: Przewiążemy się liną.

Wyjął z plecaka uprząż i linę.

Nie jedź, powiedziała matka.
Wyobrażałem ich sobie, braci bliźniaków. Widziałem siebie w dwóch kopiach.
Za kilka dni stuknie mi trzydziestka. To dość specyficzny prezent na urodziny.
Czas nie istnieje. Czas jest wytworem człowieka. Człowiek stworzył czas, bo chciał opisać i zrozumieć świat. Tymczasem tak naprawdę wszystko dzieje się w jednym momencie. Narodziny, istnienie i śmierć świata zachodzą nieustannie i jednocześnie.
Z daleka zobaczyłem to miejsce. Kilka wbitych tyczek obwiązanych taśmą.
Powiedział wuj: Trafił na niego operator ratraka.
I dodał: Ostrożnie.
Kiedy zobaczyłem ojca, poczułem zdziwienie. Tym, że w ogóle był. Że jest. Do dzisiaj był brakiem. Teraz ten brak wypełnił się istnieniem.
To istnienie ma twarz, pomyślałem. Moją twarz.
Leżał na plecach, w bryle przezroczystego lodu. Możliwe, że pozycja, w jakiej umarł, była ostatnim, o czym mógł zdecydować.
Miał zamknięte oczy. Wydawał się spokojny.
Ubrany był tak samo jak na zdjęciach, które pokazał mi wuj.
Mój zamarznięty ojciec ma trzydzieści lat. Jest dokładnie w moim wieku. Patrzę na niego i widzę siebie. Jestem nim. On jest mną. Jesteśmy jednym. To ja leżę w tym lodzie, a on patrzy na mnie z zewnątrz. Lód był we mnie przez całe moje życie. Czas nie istnieje. Nic nie istnieje. I istnieje wszystko.
Złapałem za czekan i zacząłem kuć. Fragmenty lodu strzelały jak konfetti.
Powiedział wuj: Przestań. Nie zostawimy go tutaj. Jutro wrócimy z ekipą.
Spojrzałem na wuja. Płakał.
Płakałem i ja. Po moich policzkach płynęły dwa strumienie z topniejącego w moim wnętrzu lodowca. Położyłem się przy bryle, w której leżał mój ojciec. Objąłem ją ramionami.
Powiedział wuj: Czas wracać.
Miał do załatwienia masę formalności.
Przez cały dzień nie myślałem o niczym. W nocy spałem jak zabity. Ogarnął mnie spokój.
Na Tsanfleuron wróciliśmy następnego dnia. Strażacy przylecieli helikopterem. Piłami wycięli idealny prostopadłościan, w którego środku znajdował się mój ojciec.
Potem ciężarówką z chłodnią zawieźliśmy mojego ojca do Polski.
Teraz jest już w domu.
Matka jeszcze nie zdecydowała się z nim zobaczyć. Mówi, że nie wie, czy kiedykolwiek będzie na to gotowa.
Ja sam czuję się trochę nieswojo. Nigdy przecież nie miałem ojca. I trochę nie wiem, jak się w tej sytuacji zachować.

Mężczyzna wywozi skrzynię ze sceny.

W trakcie intermedium leci utwór „Indefinite Fields” muzyka Rafaela Antona Irisarriego.

Scena 6

Osoby: Manager (40 lat), Pracownik i Pracownica (oboje w wieku około 30 lat)

Gra muzyczna – intro. Wchodzi manager i siada za frontalnie ustawionym biurkiem. Intro cichnie. Manager ma koszulkę z napisem SZEFE WSZYSTKICH SZEFOW. Mówiąc, stroi miny, mizdrzy się, puszcza oko do widowni – jest przerysowany jak postać w serialu komediowym.

Pracownik i Pracownica, którzy pojawiają się w dalszej części sceny, są po ludzku autentyczni – w odpowiedzi na zachowanie i polecenia Managera czują oburzenie, smutek, ból, upokorzenie, złość, bezsilność.

W określonych momentach będzie się rozlegał śmiech z offu. Zdarzy się, że raz ktoś ze śmiejących się w offie beknie, innym razem ktoś chrumknie albo pierdnie – Manager zrobi wtedy zdziwioną minę i sam się z tego zaśmieje.

Manager (do publiczności): Bycie dobrym managerem wymaga posiadania szeregu miękkich kompetencji. To znaczy, generalnie należy być twardym, ale i trochę miękkim – w kompetencjach właśnie (*śmiech z offu*). Ja takie umiejętności posiadam. (*pokazuje napis na koszulce, wiwaty z offu*) Wykorzystuję je na przykład w rozmowach z podwładnymi. Ponieważ wszystko zaczyna się od głowy, jeszcze przed rozmową, w głowie, myślę o pracowniku, że jest nic niewartą szmatą (*śmiech z offu*). A potem staram się sprawić, żeby naprawdę poczuł się jak szmata. To tworzy właściwą hierarchię. Dalej jest już z górki. Ktoś mi kiedyś powiedział, że robię tak, bo sam siebie mam za gówno (*śmiech z offu, Manager wzrusza ramionami*). Zaraz zobaczycie, jak to działa. Wczoraj dowiedziałem się o konflikcie pomiędzy moimi podwładnymi. Jako doświadczony manager, rozwiążę go.

Manager podnosi słuchawkę telefonu.

Manager: Andżela, wpuść nasze łobuzy.

Wchodzą Pracownik i Pracownica.

Pracownica: Dzień dobry, Michale.

Pracownik: Dzień dobry, Michale.

Manager: (do publiczności) Uwaga, uwaga, zaczynamy! (*do pracowników*) Węszę problem. Cisza.

Manager: Gadać mi tu, gagatki, o co chodzi.

Pracownik: To znaczy...

Manager: Najpierw klękajcie. (*puszcza oko do widowni, z offu wyrazi zdziwienia*)

Pracownica: Słucham?

Manager: Klękajcie. Będzie wam wygodniej.

Pracownica: Michał, co ty wygadujesz?

Manager: No raz-dwa.

Pracownik: Nie ma mowy. To przecież uwłaczające i sprzeczne z prawami pracownika.

Manager: Zdaje się, że oboje macie kredyty hipoteczne. (*śmiech z offu*)

Pracownica: Skąd wiesz?

Manager: Wszyscy je dzisiaj mają.

Pracownik: Michał, naprawdę mamy klękać?

Manager: Kredyty się same nie spłacą... (*z offu: uuuu*)

Manager wychodzi przed biurko i opiera się o nie pośladkami. Pracownicy klękają po jego dwóch stronach.

Manager: Zebraliśmy się tu. Żartuję. *(śmiej z offu)* No więc, co się stało?

Pracownica: Przed szkoleniem dla działu finansów nie dostałam na czas materiałów.

Pracownik: Dostałaś. Po prostu za późno odebrałaś maila.

Pracownica: Wysłałeś go po *deadline*.

Pracownik: Wysłałem go w terminie. Mam na to dowody.

Pracownica: Ja też mam dowody. Poza tym materiały były niekompletne.

Pracownik: Załączyłem wszystko, na co się umówiliśmy.

Manager: Moment, moment. *(do publiczności)* Teraz patrzcie. *(do pracowników)* Czyli mamy do czynienia z konfliktem.

Pracownicy potwierdzają.

Manager: I nie wiemy, kto ma rację.

Pracownica: Ja mam rację. Nie mogłam dobrze poprowadzić szkolenia, bo dostałam materiały z opóźnieniem, a do tego wybrakowane.

Pracownik: Wysłałem wszystko, co miałem wysłać. W terminie.

Manager: Milcze! *(do publiczności)* Uwaga, uwaga, a teraz krótka lekcja historii. W starożytnej Sparcie istniał organ... *(Manager uśmiecha się lubieżnie, śmiej z offu)* Istniał organ zwany *Apella* – czyli zgromadzenie ludowe. Zebrani głosowali okrzykami – wygrywała ta opcja, której stronnicy krzyczeli głośniej. *(do pracowników)* I my wasz konflikt, gagatki, rozwiążemy jak starożytni Spartanie! *Pracownicy spoglądają niepewnie na Managera i na siebie nawzajem.*

Manager: Zajmijcie pozycję na pieska. *(z offu odgłosy niedowierzania)* To znaczy, wykonajcie klęk podparty. *(pracownicy wahają się)* Eh, kredyt, inflacja, niepewna sytuacja, kredyt, inflacja, niepewna sytuacja... *(pracownicy przestają się wahać)* Dobrze. A teraz będziecie na siebie szczekać.

Pracownik: Szczekać?

Manager: Jak psy. Kto będzie głośniej szczekał, ten wygrywa. *(śmiej z offu, wiwaty)*

Pracownica: Michał, to nie jest najlepszy...

Manager: No dalej. Musimy rozwiązać konflikt, czyli wyłonić zwycięzcę. Zaczynajcie. Hau, hau, wiecie, jak to leci.

Pracownicy zaczynają na siebie szczekać, na początku nieśmiało, potem już na całego. Pracownica szczeka zdecydowanie głośniej.

Manager: *(do siebie)* Ale wy jesteście pojebani. *(śmiej z offu)* No i mamy zwycięzcę! A właściwie to zwyciężczynię. Konflikt wygrywa nasza dzielna Iwica! Wstańcie, gagatki.

Pracownicy wstają. Manager podchodzi do Pracownicy, podnosi jej rękę, jak po walce bokserskiej, potem ściska jej dłoń, gratuluje. Wiwaty i pogwizdywania z offu.

Manager: Mamy też przegranego. *(podchodzi do Pracownika i palcem wskazującym tyka go w czoło)* To wszystko twoja wina, twoja wina, twoja wina. Zawaliłeś. Jak mogłeś? *(buczenie z offu)*

Pracownik: Może trochę się nie spisałem.

Manager: Trochę? Dałeś dupy na całej linii! *(śmiej z offu)*

Pracownik: Michał, to był dla mnie bardzo ciężki czas.

Manager: Złej baletnicy przeszkadza rąbek spódnicy. *(śmiej z offu)*

Pracownik: Ja naprawdę...

Manager: Sralis-mazgalis. *(śmiej z offu)*

Pracownik: Michał, w zeszłym tygodniu zmarła moja matka.

Cisza.

Pracownica: O Boże, nie wiedziałam.

Cisza.

Pracownica: Tak mi przykro.

Pracownik: Nie mówiłem o tym nikomu, bo... Bo to nieprofesjonalne. (z *offu*: *ooo*)

Pracownica: Trzeba było powiedzieć. Przecież wszyscy jesteśmy ludźmi.

Manager: Używając parafrazy: czy dobrze zrozumiałem, że matka ci zmarła?

Pracownik: Tak.

Manager: A ile to ona niby miała lat, ta twoja matka?

Pracownik: Pięćdziesiąt pięć. Niecałe.

Manager: Niecałe pięćdziesiąt pięć. Czyli stosunkowo młoda osoba. To brzmi dość podejrzanie.

Cisza.

Manager: A na co to niby zmarła?

Pracownik: Na raka. (z *offu*: *ooo*)

Pracownica: Współczuję.

Manager: Na raka? A jak to niby umierała na tego raka?

Cisza.

Pracownica: Michał...

Manager: No jak?

Pracownik: Wykryli go pół roku temu, w mocno zaawansowanym stadium. A potem... (*głos mu się łamie*). Potem marniała. W oczach. Schudła. Miała chemię. Wypadły jej włosy.

Manager: Tak całkiem wyłysiała? Była łysa jak kolano? (*śmiech z offu*)

Pracownik (*zakrywa dłońmi oczy*): Tak.

Manager: (*do publiczności*) Kluczową kompetencją dobrego managera jest odczytywanie komunikatów niewerbalnych. Na przykład, kiedy ktoś nie patrzy wam w oczy podczas rozmowy, to znaczy, że kłamie. Czasem też zakrywa twarz dłońmi (*wskazuje na Pracownika, z offu: buuu*) – żeby nie można go było rozszyfrować. Właśnie odkryłem, że mój podwładny chciał mnie oszukać. Chciał wzbudzić we mnie litość i uniknąć konsekwencji opowiadając zmyśloną historyjkę. Nieżył z niego ancymon. Matka mu zmarła. Na raka. No jasne. Wiedzieliście go, jak się wił? Jak łągał? Ja myślę, że on w ogóle nigdy nie miał matki i został niepokalanie poczęty. (*śmiech z offu*)

Manager podchodzi do zrozpaczonego Pracownika, którego pociesza Pracownica.

Manager: Nie dość, że przegrałeś w szczekanie, to jeszcze kłamiesz. Nieładnie, naprawdę nieładnie. (*śmiech z offu*) Matka ci zmarła. Na raka! Patrzcie go!

Pracownik: Ale to prawda!

Manager: Milcz! Już ja wiem swoje. W ramach kary za próbę oszustwa, będziesz się wstydził podłóżnie. (z *offu*: *uuu*)

Pracownica: Michał!

Pracownik: Mam się wstydzić podłóżnie?

Manager: Tak! (*podchodzi do widowni*) Kolejna ważna kompetencja dobrego managera to edukowanie podwładnych. (*do pracowników*) Teraz nauczę was wstydzić się podłóżnie. (*śmiech z offu*) Uważajcie, bo dwa razy powtarzał nie będę. Najpierw kładziecie się na ziemi. Ręce wzdłuż tułowia. (*manager sam kładzie się i pokazuje, krok po kroku, jak należy wstydzić się podłóżnie*) Potem prostujecie ręce ponad głowę. I się turlacie: dwa obroty w prawo, powrót do pozycji wyjściowej, potem dwa w lewo i powrót. (*turla się, następnie wstaje*) Jasne?

Pracownicy kiwają głowami.

Manager: To teraz wstydz się podłóżnie, gągatku-klamczuszk!

Pracownik kładzie się na ziemi i wstydzi się podłóżnie. Manager poprawia go, koryguje technikę. Wreszcie opiera na nim stopę i turla nim – w tę i z powrotem. Z offu wiwaty.

Manager: Dobrze. Bardzo dobrze. Czy odczuwasz wstyd?

Pracownik: Tak. Wstydzę się.

Manager: Podłóżnie.

Pracownik: Wstydzę się podłóżnie. (*śmiech z offu*)

Manager: Jaki ty jesteś pięknie zawstydzony! Pamiętaj, żeby mi się to więcej nie powtórzyło. Obiecuj.

Pracownik: Obiecuję.

Manager: Ładniej.

Pracownik: Ładnie obiecuję.

Manager: Dobrze. Teraz możesz już iść, gagatku.

Pracownik wstaje, otrzepuje się, wychodzi.

Manager (do Pracownicy): Gratuluję wygranej, lwico! (*śmiech z offu*)

Pracownica stoi zdruzgotana.

Pracownica: Ja myślę, że jego matka naprawdę...

Manager: Nie daj się zwieść pozorom! Bądź czujna! (*daje jej kuksańca, z offu: ooo*) No dobra, a teraz przybijemy piątkę, jak w prawdziwym *teamie*.

Pracownica patrzy niepewnie, wreszcie wyciąga otwartą dłoń, manager przybija jej piątkę.

Manager: I jeszcze kop na popęd! (*śmiech z offu*)

Pracownica: Nie.

Manager: No dalej. Wypnij się.

Pracownica: Nie, Michał, nie ma mowy. (*spogląda z oburzeniem; z offu: uuu*)

Manager (patrzy w sufit i szepcze): Kredyt, inflacja, niepewna sytuacja, kredyt, inflacja, niepewna sytuacja, kredyt, inflacja, niepewna sytuacja...

Pracownica wypina się. Manager podchodzi do niej z tyłu, chwytą ją za biodra, delikatnie maca, symuluje ruch kopulacyjny, a potem kopie kolanem w pośladek, mocno. Z offu wiwaty, ktoś chrumka.

Pracownica poprawia ubranie, odchodzi.

Manager: Tak trzymaj, lwico! (*do widowni*) To wszystko wydaje się bardzo proste, ale nabycie tych umiejętności zabrało mi lata. Pamiętajcie: trzeba być twardym, ale i miękkim – w kompetencjach. To właśnie wyróżnia dobrego managera! (*uśmiech, palec wskazujący w stronę widowni, puszcza oko, z offu śmiech i klaskanie, ktoś gwizdże na palcach, wow!*)

W trakcie intermedium leci piosenka „Paranoid” zespołu muzycznego Black Sabbath.

Scena 7

Osoby: Histeryk-przemocowiec i Kobieta bez złudzeń (oboje w wieku ponad 40 lat)

Scena przedzielona na dwie części ścianą z otwartymi drzwiami. Po prawej stronie pokój, w nim stół, wokół stołu taborety. Na jednym z nich siedzi Histeryk-przemocowiec, łysy, z tatuażami, w bawełnianych spodniach dresowych i podkoszulku na ramiączkach. To taki mężczyzna, którego nie chciałoby się spotkać w ciemnej uliczce, weteran osiedlowych potyczek, zdecydowanie agresywny, niereformowalny, mało refleksyjny. Za nim na podłodze stoi duże pudełko na narzędzia. Po lewej stronie sceny kuchnia, w niej Kobieta bez złudzeń – żona Histeryka-przemocowca, ubrana po domowemu, zmęczona życiem, zobojętniała, nie kocha ani męża ani samej siebie. Chociaż może jednak jego trochę kocha. Gotuje obiad.

Histeryk-przemocowiec (rozdzierając ryczy, jak zarzynany, rzuca się na podłogę): Aaaaa!

Kobieta bez złudzeń: Zamknij się!

Histeryk-przemocowiec wije się w paroksyzmach.

Kobieta bez złudzeń: Powiedziałam już, że dzisiaj pomidorowa.

Histeryk-przemocowiec: Ja chcę zupę krem!

Kobieta bez złudzeń: Zamknij się.

Histeryk-przemocowiec: Nie zamknę się.

Kobieta bez złudzeń: Jeszcze chwila, a nie wytrzymam.

Histeryk-przemocowiec grzebie w pudełku z narzędziami. Wyciąga wielką, ręczną piłę do drewna. Ogląda ją, ząbek po ząbku. Ząbki są duże. Sprawdza, jaka jest ostra. Jest bardzo ostra. Przegląda się w metalu.

Histeryk-przemocowiec: Ja chcę zupę krem!

Cisza.

Histeryk-przemocowiec: Bo jak nie, to cię... (pręży muskuły, ogląda piłę)

Kobieta bez złudzeń: No?

Histeryk-przemocowiec: To ja cię wtedy...

Kobieta bez złudzeń: To co mi zrobisz, gnojku?

Kobieta bez złudzeń podchodzi do drzwi pomiędzy kuchnią i pokojem. Histeryk-przemocowiec szybko chowa piłę za siebie.

Kobieta bez złudzeń: Nie słyszę.

Kobieta bez złudzeń podchodzi i wali ręką w stół. Histeryk-przemocowiec kuli się. Kiedy ona odchodzi w stronę kuchni, on nagle wstaje z krzesła, staje w pozycji bojowej, a wtedy ona, widząc to, kuli się.

Kobieta bez złudzeń: A wiesz co, zrób mi coś. Na przykład uderz mnie. Tak jak potrafisz. No dalej.

Histeryk-przemocowiec: Nie.

Kobieta bez złudzeń: Taka pizda jesteś? Nie masz jaj, żeby się za mnie porządnie zabrać?

Histeryk-przemocowiec: Nic ci nie zrobię.

Kobieta bez złudzeń: Co?

Histeryk-przemocowiec: Nic. (cisza) Nic ci nie zrobię. Sobie zrobię.

Kobieta bez złudzeń: Sobie?

Histeryk-przemocowiec: Sobie zrobię. Krzywdę.

Kobieta bez złudzeń: Ach tak?

Histeryk-przemocowiec: Rękę sobie utnę.

Kobieta bez złudzeń (*parska śmiechem*): Ale ty jesteś głupi.

Histryk-przemocowiec: Łapę sobie upierdole!

Kobieta bez złudzeń wraca do kuchni. Histryk-przemocowiec siada przy stole. Podnosi piłę i przykłada do ręki.

Histryk-przemocowiec: Ja chcę zupę krem!

Kobieta bez złudzeń: Jest pomidorowa.

Histryk-przemocowiec (*wyje rozdzierająco*): Aaaaa!

Kobieta bez złudzeń: Zamknij się!

Histryk-przemocowiec: O Jezu, jak boli!

Kobieta bez złudzeń ponownie zagląda do pokoju. Histryk-przemocowiec chowa piłę.

Histryk-przemocowiec: Dałaś się nabrać, idiotko!

Kobieta bez złudzeń (*śmieje się ironicznie*): Jaki ty jesteś żałosny.

Histryk-przemocowiec wstaje, podnosi krzesło, bierze zamach. Kobieta bez złudzeń chowa się w kuchni.

Kobieta bez złudzeń: Będziesz żarł pomidorową, gnoju!

Histryk-przemocowiec stawia krzesło na ziemi. Siada na nim. Wali pięściami w blat stołu, a potem wali w niego głową.

Histryk-przemocowiec: Krem, krem! Ja chcę zupę krem!

Kobieta bez złudzeń: A ja bym, kurwa, chciała sukienkę. Taką w kwiatki.

Histryk-przemocowiec: Nic by ci taka sukienka nie pomogła, wywłoko. Jesteś szkaradna!

Kobieta śmieje się. Potem uderza pięścią w blat kuchenny. Płacze.

Histryk-przemocowiec: Chcę zupę krem!

Kobieta bez złudzeń: To znajdź sobie jakąś kurwę, która ci będzie zupę krem robiła!

Histryk-przemocowiec: A żebyś wiedziała, że tak zrobię!

Kobieta bez złudzeń: Kto by cię tam chciał.

Histryk-przemocowiec wali pięścią w stół. Płacze.

Histryk-przemocowiec: Aaaa! Chcę zupę krem!

Cisza.

Histryk-przemocowiec: Naprawdę zaraz coś sobie zrobię.

Kobieta bez złudzeń: A zrób.

Histryk-przemocowiec: Utnę sobie rękę, jak mi nie dasz zupy kremu.

Kobieta bez złudzeń: Utnij, to ci ją ugotuję na obiad.

Histryk-przemocowiec: Jak Boga kocham, zrobię to!

Kobieta bez złudzeń: Jezus Maria!

Histryk-przemocowiec bierze piłę i przykłada do ręki – w różne miejsca. Sprawdza, czy dotyk boli. Boli. Przymierza, gdzie by się cięto najlepiej.

Histryk-przemocowiec: Już się do tego biorę.

Kobieta bez złudzeń: Akurat.

Histryk-przemocowiec: Ała!

Kobieta bez złudzeń zagląda przez drzwi. Histryk-przemocowiec kontynuuje testowanie piły.

Kobieta bez złudzeń: Co ty wyprawiasz?!

Histryk-przemocowiec: Nic.

Kobieta bez złudzeń: Zostaw to!

Histryk-przemocowiec: Nie.

Kobieta bez złudzeń: Odłóż!

Histeryk-przemocowiec: Upierdole sobie łapę. O tu. Albo tu. Albo tu.

Kobieta bez złudzeń: Zwariowałaś?!

Histeryk-przemocowiec: Wynoś się do kuchni gotować to pomidorowe gównno.

Kobieta: Jesteś jebnięty.

Histeryk-przemocowiec: Pierdol się.

Kobieta bez złudzeń intensywnie wpatruje się w niego.

Histeryk-przemocowiec: Ależ ty mnie musisz nienawidzić.

Kobieta bez złudzeń: Co?

Histeryk-przemocowiec: Cieszy cię moja krzywda. Mój ból.

Kobieta idzie do kuchni, ale zaraz wraca, staje w drzwiach, zagląda do pokoju.

Kobieta bez złudzeń: Odłóż to, debilu.

Histeryk-przemocowiec: Chciałabyś zobaczyć, jak ucinam sobie rękę. Jak przecinam kości. Jak rozpruwam żyły. Jak wykrwawiam się na śmierć.

Kobieta bez złudzeń: Ależ oczywiście. Dawaj!

Histeryk-przemocowiec udaje, że zaczyna piłować. Kobieta bez złudzeń podbiega, łapie za piłę, szarpia się. On jest silniejszy, wrywa narzędzie. Ona patrzy na niego, zaczyna płakać.

Kobieta bez złudzeń: A rób, co chcesz!

Histeryk-przemocowiec: Zrobię. Żebyś wiedziała. Będę cierpiał. Przez ciebie. Już cierpię. Całe życie cierpię. (ryczy) Aaaa!

Cisza.

Kobieta bez złudzeń: Nikt nie jest w stanie sam sobie ręki uciąć.

Histeryk-przemocowiec: A co ty możesz o tym wiedzieć!

Kobieta bez złudzeń: Jak tylko byś zaczął piłować, to byś zemdłał.

Histeryk-przemocowiec: Gównno prawda. Wynoś się, zapruta ździro.

Kobieta bez złudzeń pluje na niego.

Kobieta bez złudzeń: Ty chuju. Gównnożerco.

Kobieta bez złudzeń wychodzi do kuchni, siada na podłodze i kryje twarz w dłoniach. Histeryk-przemocowiec zaczyna płakać.

Histeryk-przemocowiec i Kobieta bez złudzeń (jednocześnie, cicho): Ja chcę miłości. Ja chcę miłości. Ja chcę miłości.

Kobieta bez złudzeń wraca do przygotowywania zupy.

Histeryk-przemocowiec: Ja chcę zupę krem!

Kobieta bez złudzeń wali warząchwą w garnek.

Histeryk-przemocowiec (łkając po cichu): Ja chcę zupę krem. Daj mi zupę krem. Nie chcę pomidorowej. Chcę zupę krem. Pomidorową sam sobie mogę zrobić. Zaraz ze mnie pomidorowa wycieknie. Będę cierpiał. Przez ciebie. Będę cierpiał. Już cierpię. Chcę zupę krem, nie pomidorową. Zupę krem. Będę krwawił. To ty jesteś tą piłą, ty podła ździro.

Cisza.

Kobieta bez złudzeń (głośno): Nic sobie nie zrobisz. Jesteś zbyt wielkim tchórzem. Jesteś ostatnią pizdą.

Histeryk-przemocowiec: Ja chcę zupę krem! (rozdierająco) Aaaa!

Cisza.

Kobieta bez złudzeń: Ciota. Rękę na kobietę podnieść to potrafisz. Ale na siebie... No jakoś tego nie widzę. Prędzej ci ta ręka sama uschnie.

Cisza. Gaśnie światło po prawej stronie. Po chwili słychać okropny dźwięk przecinania ciała, łamania kości, ręki upadającej na podłogę, piły uderzającej o ziemię.

Histeryk-przemocowiec: *Ja chcę zupę krem! (próbuję krzyczeć, ale coraz bardziej słabnie) Aaaa!
(szlocha)*

Dźwięk osuwającego się na podłogę ciała.

W trakcie intermedium leci piosenka „Swordfishtrombones” piosenkarza Toma Waitsa.

Scena 8

Osoby: Mężczyzna w kryzysie (50 lat), Żulio Kortazar (równolatek Mężczyzny w kryzysie lub delikatnie od niego starszy)

Mężczyzna w kryzysie stoi na przystanku. Koszula z krótkim rękawem włożona w spodnie i okulary z dużymi szklami mogą wskazywać na wykształcenie ścisłe, wyższe. Właśnie wysiadł z tramwaju. Wysiadł z niego również Żulio Kortazar (ubrany trochę à la New Age z silnymi akcentami katolickimi; wonieje od niego alkoholem, ale widzowie i tak tego nie poczują), który głosił pasażerom nadchodzącą apokalipsę („Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię, gdyż bliskie jest Królestwo Boże”, etc., etc.).

Mężczyzna w kryzysie: Przepraszam, ale skąd wiesz, że nadchodzi apokalipsa?

Żulio Kortazar: Trzeba być ślepym, żeby tego nie zauważyć.

Mężczyzna w kryzysie: Ja widzę tylko moją własną apokalipsę.

Żulio Kortazar: Biedny głupcze. Pora przejrzeć na oczy. Wojna w Europie. Kryzys. Wzajemna nienawiść. A nade wszystko bezbożność. Oto czterej jeźdźcy apokalipsy. Oni nie przybędą kiedyś tam, konno, z mieczami w dłoniach. Oni już tu są! Koniec jest blisko. Wierzysz w Ewangelię?

Mężczyzna w kryzysie: Głupio się przyznać, ale nie.

Żulio Kortazar: Czy aż tak trudno zrozumieć, że jeśli się nie nawrócisz, będziesz na zawsze potępiony? Naprawdę niewiele potrzeba, żeby wieść niebiańskie życie wieczne.

Mężczyzna w kryzysie: Ja już jestem potępiony.

Żulio Kortazar: Nie wiesz, co pleciesz, biedaczku.

Mężczyzna w kryzysie: Myślę, że niebo, o którym mówisz, wygląda jak zorza polarna.

Żulio Kortazar (ze zdziwieniem): Wiesz co, mówią mi czasem, że jestem wariatem. Ale z tobą to chyba naprawdę nie jest dobrze.

Mężczyzna w kryzysie: Wczoraj całą noc leżałem na podłodze i oglądałem na suficie zorzę polarną wyświetlaną z projektora.

Żulio Kortazar: Z projektora?

Mężczyzna w kryzysie: Tak. Na święta kupiłem dzieciakom taką zabawkę. Szybko im się znudziła. Ale ja mogę się w to gapić w nieskończoność. Żona śpi, a ja idę do salonu, kładę się i patrzę na zorzę.

Żulio Kortazar wyjmując małą tykę. Bierze tyka i ciekawie spogląda na Mężczyznę w kryzysie.

Żulio Kortazar: Chcesz?

Mężczyzna w kryzysie: Co to jest?

Żulio Kortazar: *Spirito santo.* Oczyszcza ciało. Żeby oczyścić duszę, musisz się już wypowiadać.

Mężczyzna w kryzysie (waha się, rozgląda się dookoła): Daj.

Bierze dużego tyka, otwiera szeroko oczy, kaszle po dyletancku.

Żulio Kortazar: To jak, wierzysz mi, że nadchodzi apokalipsa?

Mężczyzna w kryzysie: Wierzę, czemu nie. Świat jest w sumie tak samo prawdopodobny, jak i jego brak.

Żulio Kortazar: Czterej jeźdźcy.

Mężczyzna w kryzysie: Życie jest tak samo bezsensowne, jak nieżycie.

Żulio Kortazar: Zaiste, zlituje się Pan nad Syjonem, zlituje się nad wszelką jego ruiną. Na Eden zamieni jego pustynię, a jego stępy na ogród Pana. Zapanują w nim radość i wesele, pienia dziękczynne przy dźwięku muzyki.

Mężczyzna w kryzysie: Ładne.

Żulio Kortazar: Izajasz 51,3.

Mężczyzna w kryzysie: Wolę Hioba. I tego drugiego, od marności.

Żulio Kortazar: Koheleta.

Mężczyzna w kryzysie: Właśnie, Koheleta.

Żulio Kortazar: Co ci jest?

Mężczyzna w kryzysie: Nie wiem.

Żulio Kortazar: Robotę straciłeś? Kredyt cię zżera?

Mężczyzna w kryzysie: Nie.

Żulio Kortazar: Rak?

Mężczyzna w kryzysie: Nie.

Żulio Kortazar: W takim razie wiary ci, bracie, brakuje. Jakbyś miał wiarę, to byś miał wszystko.

Mężczyzna w kryzysie bierze z ręki Żulio Kortazara małpkę i popija.

Mężczyzna w kryzysie: Myślę, że po śmierci wszystko przypomina zorzę polarną. Człowiek roztapia się w przestrzeni, jakby go ktoś kwasem polał i dryfuje w takiej zielono-czerownej plazmie. Nie ma nic więcej. Tylko wieczność.

Podjeżdża tramwaj, wysiadają z niego ludzie. Żulio Kortazar podchodzi do nich.

Żulio Kortazar: Koniec jest blisko. Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię. Czterej jeźdźcy apokalipsy już tu są. Ale możecie się uratować.

Ludzie odganiają się od niego, ktoś mu mówi, żeby spierdalał.

Żulio Kortazar (do Mężczyzny w kryzysie): Biedni głupcy.

Mężczyzna w kryzysie stoi zamyślony.

Żulio Kortazar: Tylko nie gadaj, że chcesz się zabić.

Mężczyzna w kryzysie: Ty masz wiarę. Bardzo ci tego zazdrozczę. Wiara to pewność i sens.

Żulio Kortazar: Wiara to łaska, której każdy może dostąpić. Tak jak i życie jest łaską.

Mężczyzna w kryzysie: Nie wiem, kim jestem. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Żulio Kortazar spogląda smutno na Mężczyznę w kryzysie.

Mężczyzna w kryzysie: A może... ty byś mi pomógł? To znaczy... tak tylko trochę. No wiesz, może byś mi powiedział, co mam robić.

Żulio Kortazar (cwaniacko): Naprawdę chcesz słuchać alkoholika, który głosi nadchodzącą apokalipsę?

Mężczyzna w kryzysie: Nikt mi nigdy nie uprzedził, że coś takiego mnie spotka. Nie mam pojęcia, jak się zachowywać.

Żulio Kortazar (zanosi się śmiechem): A to piękne! (*ostro*) Idź do domu. Powiedz żonie i dzieciom, że je kochasz. I zwróć się w stronę Pana. On wskaże ci drogę.

Mężczyzna w kryzysie (zastania dłońmi twarz): Ja już więcej nie zniosę.

Żulio Kortazar popija z małpki, potem podaje ją mężczyźnie.

Żulio Kortazar: Daj mi rękę.

Mężczyzna w kryzysie (wyciąga chusteczkę i smarka w nią): Co?

Żulio Kortazar: Rękę mi daj.

Mężczyzna w kryzysie wyciąga rękę. Żulio Kortazar łapie go za dłoń i patrzy mu w oczy. Mężczyzna w kryzysie spuszcza wzrok.

Żulio Kortazar: Patrz mi w oczy!

Mężczyzna w kryzysie robi, co mu Żulio Kortazar karze. Stoją tak przez chwilę bez słowa, nieruchomo.

Żulio Kortazar: Jesteś człowiekiem z przeszłości. *Cisza.* Jesteś człowiekiem z przeszłości, który znalazł się w przyszłości.

Mężczyzna w kryzysie: Możesz mówić jaśniej?

Żulio Kortazar: Urodziłeś się o piętnaście minut za późno. *(przygląda się uważnie)* Nie, nie piętnaście. Dwanaście.

Mężczyzna w kryzysie patrzy wyczekująco.

Żulio Kortazar: Każdy na świecie ma określony moment na narodziny. Tak się toczy wszechwieczne koło historii. Ale ty najwyraźniej urodziłeś się za późno względem tego momentu.

Mężczyzna w kryzysie: Skąd to wiesz?

Żulio Kortazar: Widzę to.

Mężczyzna w kryzysie: Nie do końca rozumiem. Matka rzeczywiście miała podobno pewne problemy przy porodzie. W końcu zrobili jej cesarkę.

Żulio Kortazar: Jesteś człowiekiem z przeszłości.

Mężczyzna w kryzysie: W sumie zawsze się spóźniałem.

Żulio Kortazar: Ile?

Mężczyzna w kryzysie: Około dziesięciu minut, może kwadrans. Walczę z tym, bo jestem bardzo obowiązkowy, ale to silniejsze ode mnie.

Żulio Kortazar: A widzisz?

Mężczyzna w kryzysie: Człowiek z przeszłości w przyszłości.

Żulio Kortazar: Tak.

Żulio Kortazar pociąga tyk z małpki i podaje ją mężczyźnie w kryzysie. Ten też pije.

Mężczyzna w kryzysie: To może ja nie istnieję?

Żulio Kortazar: Co ty pieprzysz. Istniejesz, tylko urodziłeś się o dwanaście minut za późno.

Mężczyzna w kryzysie: W takim razie jestem zawieszony pomiędzy żywymi, z których żadne do końca nie jest moje.

Żulio Kortazar: No w sumie...

Mężczyzna w kryzysie: Czyli w zasadzie to żyję nieswoje życie.

Żulio Kortazar: Chyba można tak powiedzieć.

Mężczyzna w kryzysie: Ale skoro żyję nieswoje życie, to to jest...

Żulio Kortazar: Taki trochę rejs w nieznaną.

Mężczyzna w kryzysie: Ahoj przygodo!

Żulio Kortazar: Niezbadane są wyroki Pana.

Mężczyzna w kryzysie: Ciekawe, jak by wyglądało moje prawdziwe życie, gdybym urodził się we właściwym momencie.

Żulio Kortazar: Zastanówmy się.

Żulio Kortazar bierze tyk z małpki. Tymczasem Mężczyzna w kryzysie klęka i wznosi ręce ku górze.

Mężczyzna w kryzysie: Miałem być kim innym, niż jestem, a jestem tym, kim nigdy być nie miałem. Niesamowite. To trochę jakbym miał poprzednie wcielenie, które nigdy nie zaistniało, choć trochę go jednak doświadczyłem. Dwanaście minut... Niby niewiele. Ale gdybym zdążył na pociąg, na który trzydzieści lat temu nie zdążyłem, to nie spotkałbym mojej przyszłej żony, która jechała pociągiem następnym. Poznałbym pewnie jakąś miłą, śliczną dziewczynę, dobrą taką, a nie ją. Ale też... żyjąc o dwanaście minut wcześniej, mógłbym zginąć w wypadku. Pomagałem kiedyś ratować ludzi, którzy przed chwilą zderzyli się czołowo z autobusem. Miazga. Dwanaście minut wcześniej moje plemniki mogły zapłodnić zupełnie inne komórki jajowe. Moje dzieci nie byłyby moimi dziećmi, miałbym za to inne dzieci. Może bym żył gdzie indziej, dajmy na to w jakimś ciepłym kraju. Albo bym pracował na

budowach na Greenpointcie, z kuzynami. Jest tyle możliwości. A ja akurat znalazłem się tutaj. Na dobrą sprawę ciebie też mógłbym nie spotkać. Ciebie, który... właśnie coś mi dałeś. Tylko nie wiem, co. Dar, który tak naprawdę nie istnieje, ale jednocześnie wydaje mi się niemal objawieniem.

Żulio Kortazar: Nikt lepiej od nas samych nie wypełni roli, którą mamy w życiu do wypełnienia. Jaka by ona nie była.²

Mężczyzna w kryzysie całuje Żulio Kortazara w dłoń. Ten się otrzepuje.

Żulio Kortazar: Precz z tym pyskiem!

Żulio Kortazar pociąga tyk z małpki. Mężczyzna w kryzysie wstaje i też bierze tyka.

Mężczyzna w kryzysie: Bardzo tego potrzebowałem.

Żulio Kortazar: Pan w odpowiednim momencie zsyła ludzi, przez których usta przekazuje nam słowa, jakich łakniemy.

Przychodzi Policjantka i Policjant.

Policjantka (do Żulio Kortazara): Dzień dobry, posterunkowa Rachab, komenda rejonowa policji Wrocław-Fabryczna. Poproszę pana dowód osobisty.

Żulio Kortazar (czka): Nie mam.

Policjantka: Czy posiada pan jakikolwiek inny dokument?

Żulio Kortazar: Otóż nie posiadam.

Policjantka: Pan wie, że picie alkoholu w miejscach publicznych jest zabronione. Jeśli nie ma pan dokumentów, zabieramy pana na komendę.

Żulio Kortazar: Czy zdaje sobie pani sprawę, co się dzieje na świecie? Czy wie pani o jeźdźcach?

Policjant: O jeźdźcach?

Żulio Kortazar: O czterech jeźdźcach apokalipsy.

Policjantka: Pan pójdzie z nami.

Żulio Kortazar: Nie! Mam misję do wypełnienia. Muszę uratować ludzkość!

Policjant: Oczywiście, szefuniu.

Żulio Kortazar: Nigdzie nie pójde!

Policjantka: Jeśli nie zastosuje się pan do naszych poleceń, będziemy zmuszeni użyć środków przymusu bezpośredniego.

Żulio Kortazar: Ojczy, dopomóż mi!

Mężczyzna w kryzysie: Przepraszam, ale ja też piłem alkohol w miejscu publicznym. Czy mojego dowodu nie chcecie państwo zobaczyć?

Policjant (pogardliwie): Nie.

Policjanci zakuwają Żulio Kortazara w kajdanki. Ten się stawia.

Mężczyzna w kryzysie: Ludzie, ale co ze mną?! Ja też tu jestem!

Policjantka (do Żulio Kortazara): Idziemy.

Mężczyzna w kryzysie: Mnie też aresztujcie!

Policjant: Proszę się odsunąć i nie utrudniać nam wykonywania czynności służbowych.

Policjanci odchodzą z Żulio Kortazarem.

Mężczyzna w kryzysie (krzyczy): Jak cię znajdę?

Żulio Kortazar: Spotkasz mnie, kiedy będziesz tego potrzebował. Pamiętaj, bracie, Królestwo Pana jest blisko. Nawróć się i uwierz w Ewangelię!

W trakcie intermedium leci piosenka „Then he kissed me” zespołu muzycznego The Crystals.

² Parafraza Viktora Frankla z *Człowiek w poszukiwaniu sensu*.

Scena 9

Osoby: Kobieta (70 lat), Mężczyzna (70 lat)

Na scenę wchodzi Kobieta. Ma na sobie elegancką sukienkę, taką, jakie w latach sześćdziesiątych dziewczęta zakładały na potańcówki. Czarne buciki na płaskim obcasie. Na głowie urocza opaska z kokardą. Ładnie podkreślone usta, skromny acz gustowny makijaż. Niesie bukiet złożony z czterdziestu dziewięciu czerwonych róż. Na scenie jest ciemno. Kobieta staje w świetle pojedynczego reflektora. Jej monolog przesycony jest ciepłem i czułością.

Kobieta: Tatuś radził, żebym pojechała na studia do stolicy, ale ja wolałam Wrocław. To i tak był wielki świat. Dostałam się na chemię. Mieszkałam w Ołówku, tym wysokim akademiku niedaleko Sedesowców. Mamusia martwiła się, że to koedukacyjny akademik. Ale ja głupia nie byłam. Wiedziałam, że z chłopcami trzeba uważać i wcale mnie do nich jakoś bardzo nie ciągnęło.

Raz mnie dziewczyny zabrały na potańcówkę do Kredki. Nie chciałam iść, byłam wstydliwa. Nic nie będziesz musiała robić, mówiły, postoisz z nami z boku, będzie wesoło. Założyłam sukienkę za kolanko, co mi ją mamusia przed wyjazdem uszyła. I buciki, czarne, które miałam na ważne okazje. Chciały mi dziewczyny uszinkować usta, ale się nie zgodziłam. One były takie piękne: wymalowane i szykowne. Czułam się jak brzydkie kaczątko.

Skłamały mnie, paskudy, wcale nie stałyśmy z boku, tylko w najbardziej widocznym miejscu. Jedna miała schowaną piersiówkę. Wszystkie piły, ale ja nie chciałam. Mówiły głośno i gestykulowały jak aktorki w teatrze. Pokazywały sobie chłopców, ale tak, żeby oni tego nie widzieli. O, tamten, jaki ładny, usłyszałam, kiedy weszło dwóch nowych. Obejrzałam się. Ten to taki niedźwiedź, krzyknęłam nagle i aż sobie rękoma buzię zakryłam. A dziewczyny zaczęły szeptać: ładny niedźwiedź taki, dorodny i każda poprawiła, co tam na sobie miała.

Mijają dwie piosenki i nagle jedna robi oczy jak pięć złotych, dziewczyny, ten niedźwiedź tu idzie! Stają na baczność, nóżka przed siebie, ręce pod boki, biust do przodu. Ja się odsuwam w tył, spuszczam wzrok i tylko kątem oka patrzę, co się stanie. Dobry wieczór, mówi on. One przestają paplać. Czy mógłbym z tobą zatańczyć, pyta, bez ceregieli. Zerkam, do której to powiedział i czuję, jak się nogi pode mną uginają. Bo on to powiedział do mnie. Nie odpowiadam, bo nie wiem, co powiedzieć. Robi się niezręcznie. Ta od piersiówki mnie szturcha. Kiwam głową. On idzie na parkiet, a ja patrzę na tę, co mnie szturchnęła i pytam, co ja mam robić? Nigdy w życiu nie tańczyłam! Na to ona się śmieje i mówi: Nic nie rób.

Więc idę za tym niedźwiedziem. On staje przy mnie, jedną ręką mnie obejmuje, drugą chwytając moją dłoń. Jak się nazywasz, pyta. No to mu się przedstawiam. Patrzę pod nogi, żeby go nie podeptać, ale strasznie mi nie idzie. Czuję, że on się trzęsie. Myślę sobie, że pewnie się na mnie gniewa, bo taka ze mnie niezdara. Mówi, że chyba będzie musiał sobie nowe lakierki kupić.

Czerwienię się. Odsuwam się od niego. Uciekam. Wybiegam z sali, z budynku, biegnę do akademika, zamykam się w pokoju, włożę pod kołdrę i ryczę.

Pół godziny później przychodzą dziewczuchy, wyłaż, głupia, krzyczą i się śmieją. Wszystko zepsułam, mówię, no do dupy! Dają mi pociągnąć wódki, nie odmawiam. Nic nie zepsułaś, mówi jedna. Ale chłopisko, mówi druga. Niedźwiedź, mówi trzecia. Szlag by to trafił, mówię ja. Pytał, gdzie cię szukać. Akurat, ma mnie za idiotkę. Ta, co mi dała kuksańca, podrywa mnie z łóżka i zaczyna ze mną tańczyć. Co ja mam teraz robić, pytam. A ona mówi: Nic nie rób.

Potem mi powiedział, że na parkiecie trząst się ze zdenerwowania, tak mu się podobałam. A o tych lakierkach to tak palnął bez sensu.

Najbardziej lubiłam, jak mnie zabierał na spacer. Chodziliśmy wązami wzdłuż Odry. Studiował na mechanicznym i opowiadał mi o maszynach. Miał rodziców pod Rzeszowem. Miał plany na przyszłość. Mówił, że bardzo chciałby mieć samochód. O samochodzie to on marzył. W ogóle dużo mówił.

A jak mnie zaprosił do kina, to mu powiedziałam, że pójdę, ale na film, a nie do kina. Zrozumiał. Szanował mnie. I bardzo się starał. To było takie miłe.

Na którymś spotkaniu spróbował mnie chwycić za rękę, a ja udawałam, że niczego nie widzę. Nic nie rób, zapamiętałam sobie. Wreszcie, jak już raz złapał moją dłoń, to nie chciał puścić. Wziął sobie ją w posiadanie. A mi z tym było całkiem przyjemnie.

Raz poszliśmy na szarlotkę. On pracował i miał pieniądze. Był z tego dumny. A ja byłam z niego dumna, chociaż nic mu nie mówiłam. Tak ładnie wtedy było, ciepło. Założyłam tę sukienkę z potańcówki. Godzinę stałam przed lustrem, bo nie byłam pewna, czy ładnie wyglądam. Ale jak na mnie popatrzył, to już nie miałam wątpliwości. Pyszna była ta szarlotka, aż się w pewnym momencie zorientowałam, że ciąkam jak dziecko. A by mnie mamusia skrzyczała. Ty to na pewno jesteś słodsza od tego ciastka, powiedział on, nagle. Możliwe, odpowiedziałam. I wtedy on się nade mną nachylił, wielki taki, że aż słońce zgasło i na świecie zrobiło się ciemno. Przestraszyłam się, miałam wrażenie, jakby niedźwiedź się na mnie rzucił. Uchyliłam się. Musnęliśmy się policzkami i jego twarz znalazła się obok mojej. Cofnął się, cały był czerwony ze wstydu. Chciałem cię pocałować, powiedział. Parsknęłam śmiechem, z nerwów, a potem spuściłam oczy. Wszystko zepsułam, pomyślałam. Czuję, że się zaraz rozplączę. Ale wiedziałam, że jak teraz nic nie zrobię, to się stanie coś bardzo złego. A czy dalej chcesz mnie pocałować, zapytałam. Pokiwał głową. Usiadłam prosto, ręce położyłam na stoliku i patrzyłam w niebo. Widziałam kątem oka, jak się w sobie zbierał, ile go to kosztowało. To była długa i ciężka droga, ale ją przebył. Kiedy mnie całował, rozumiałam, jak bardzo od samego początku o tym marzyłam.

Potem z moimi ustami było tak, jak z moją ręką: pomyślał chyba, że są już jego i kiedy tylko nadarzała się okazja, to mnie całował. Nawet jak nieraz nie wypadało. Ale mi się podobało, jak mnie całował, ten mój niedźwiedź.

Później to już rzeczywiście nie trzeba było za wiele robić. Tylko czasami. Napisałam o nim mamusi i tatusiowi i oni się ucieszyli, że takiego mam kulturalnego i mądrego kawalera. A jak ze mną do domu pojechał, to bardzo się polubili. Zobaczyli, że żaden z niego birbant czy hulaka. Że ma poważne zamiary.

Ale bywało też, że się na siebie gniewaliśmy. Na wakacje pojechaliśmy nad jezioro. On łowił ryby i zaciął wielkiego szczupaka. Strasznie się denerwowałam. Jak ryba była już przy brzegu, krzyknął, pomóż mi, tam jest podbierak! Podbiegłam. Jak się to rybsko pokazało, to tak się na mnie nienawistnie popatrzyło, takie było wstrętne, że z tego wszystkiego zamachnęłam się i je z całej siły podbierakiem w łeb wyrznęłam. Żyłka się zerwała i szczupak odpłynął. Później mi powiedział, że to była największa ryba, jaką kiedykolwiek widział. Do końca życia mi to wypominał.

Jak go wzięli do wojska, to mi się świat skończył. Powiedziałam, będę czekać, ale za wiele nie pisz. Nie chciałam wiedzieć, co on tam robił. Przyjeżdżał na przepustki. Bałam się, że to będzie obcy człowiek. Ale to był on, tylko się zrobił jakiś taki jeszcze bardziej atletyczny. Podnosił mnie na przywitanie. Jakby się nie mógł schylić. I całował. Jak ja lubiłam to jego wielkie ciało. Lubiałam przy nim leżeć i lubiłam też jak... Kiedy przyjeżdżał, cały czas spędzaliśmy w sypialni. To były jedne z najwspanialszych momentów w moim życiu. Miałam wrażenie, że latam.

Potem obronił pracę inżynierską. Byłam z niego taka dumna. I on był ze mnie dumny, kiedy ja się obroniłam. Oboje szybko dostaliśmy pracę, on projektował ładowarki w Fadromie, a mnie zatrudnili w zakładach chemicznych.

Wcale nie czekałam, żeby mi się oświadczył. Ale kiedy to zrobił, zrozumiałam, że pragnęłam tego, od kiedy tylko go poznałam. Ja właściwie przez cały czas do końca nie wiedziałam, czego chcę. A on mi pokazał, że chciałam właśnie jego. Wziął mnie sobie. I dał mi siebie.

Raz mi tylko, po ślubie już, przyszedł do domu pijany. Dałam mu w twarz i wyrzuciłam za drzwi. Musiałam tak zrobić, bo wiedziałam, że dużo dziewczyn miało przez to problemy. Dwa dni cisza. Zadzwoiłam do przyjaciółki, tej od piersiówki na potańcówce. Jutro zabieram cię do restauracji na coś dobrego, powiedziała. A co mi tam. Już i tak na nim kładłam krzyżyk. Następnego dnia spotkałyśmy się przed moim blokiem. Weźmiemy taksówkę, powiedziała, co będziemy tramwajem jechać. Zobacz, tam jedna stoi. Ładny, szary duży fiat. Nowiutki. Powiozą nas jak królowe. Na Świdnicką, powiedziała taksówkarzowi. Jedziemy. Wszystko w środku pachnie fabryką. Patrzę się w okno, przed oczami Wrocław mi przelatuje, a z nim całe życie, o którym trzeba będzie zapomnieć. Po policzkach płyną mi łzy. Szukam w torebce chusteczki. Przez chwilę patrzę przez przednią szybę. W lusterku wstecznym widzę oczy kierowcy. Gapi się na mnie. Zastygam w bezruchu. To on. Jak się pani podróżuje, pyta. Nie jestem w stanie nic powiedzieć. To jest, proszę pani, fiat sto dwadzieścia pięć pe, mówi, czterodrzwiowa limuzyna produkcji polskiej. Samochód przestronny i całkiem żwawy. Co pani o nim myśli? Panie kierowco, proszę mnie tu wysadzić, mówi moja przyjaciółka i wciska mi w rękę chusteczkę.

Nigdy nie mówił, że zbiera na samochód. A jak uzbierał, to się spił z radości. Jeden, jedyny raz. Więcej nigdy do domu nie wrócił pijany. Jeździliśmy potem tym fiatem na wakacje. Z Jacusiem, jak się urodził. Lata tak sobie płynęły. Nasz syn dorósł, założył rodzinę i wyjechał. A my tak dalej razem. Naprawdę, niewiele trzeba było robić.

Jezu, ależ ten czas leci. Tyle pięknych wspomnień...

Co roku przynosił mi czerwoną różę. Ten mój niedźwiedź. Na rocznicę – ale nie ślubu, tylko tamtej potańcówki. I zabierał mnie na tańce. Ubierałam wtedy tę sukienkę za kolano, co mi ją jeszcze mamusia uszyła. Trzymałam ją już tylko na tę okazję. Trochę przez lata musiałam ją poprzerabiać, ale cały czas jakoś na mnie leży.

Co roku przynosił mi czerwoną różę. Uzbierało się tych róż. Czterdzieści dziewięć. Za rok byłoby okrągłe pięćdziesiąt.

Wchodzi mężczyzna. Zrezygnowany. Zdruzgotany. Zrozpaczony. Wskazują na to jego aparycja oraz ubiór, który zdecydowanie nie jest schludny. To mężczyzna, który stracił wszystko. Jednak w jego słowach, poza rozpaczą i pustką, wyczuwa się także ciepło i czułość.

Oświetla go pojedynczy reflektor.

Kobieta zamiera. Mężczyzna patrzy na nią.

Mężczyzna: Ona nie żyje.

Cisza.

Zmarła pięć miesięcy temu. We śnie. Nikt nie wie, dlaczego. Ani po co. Po prostu, jak to mówią, zasnęła i już się nie obudziła.

Podchodzi do Kobiety, całuje ją w skroń.

Razem z nią umarłem i ja. A ściślej mówiąc, przestałem istnieć.

Pochowałem ją w tej samej sukience, w której... W tej samej sukience, w której widziałem ją po raz pierwszy. Do grobu wrzuciłem czterdzieści dziewięć czerwonych róż. Za rok byłoby okrągłe pięćdziesiąt.

Spogląda na róże, kobieta wesoło się uśmiecha.

To, że jej nie ma, wydaje się równie niewiarygodne, jak to, że była.

Kiedy ona była, byłem i ja. Wtedy istniałem.

Cisza.

Człowiek powstaje z myśli drugiego człowieka. To warunek konieczny naszego istnienia.

Kiedy ona przestała o mnie myśleć, przestałem istnieć.

Cisza.

Dlatego teraz, żeby odzyskać istnienie, muszę przywrócić ją do życia. Pracuję nad tym moja pamięć i moje myśli.

Wyciąga palec w stronę kobiety, jak na fresku z Kaplicy Sykstyńskiej. Kobieta robi to samo. Stykają się opuszkami palców i wybuchają śmiechem. Po czym on szybko smutnieje.

Czasami staram się kogoś rozweselić. Albo zranić. Tylko po to, żeby uzyskać jego reakcję. Zawsze to jakieś potwierdzenie tego, że jestem.

Ale to nie to samo.

Ona wiedziała o mnie wszystko. Ona sprawiała, że byłem w pełni.

Na chwilę prostuje się i staje dumnie. Za chwilę się w sobie kurczy.

Nigdy jej nie pytałem o to, co myślała o naszym życiu. Co myślała o mnie. Po prostu żyliśmy. Kiedy się żyje, człowiek zadaje niewiele pytań.

Teraz próbuję odtworzyć przeszłość taką, jaką ona ją widziała. I siebie samego w ten sposób staram się odtworzyć. Chcę zrozumieć, kim byłem. Kim jestem. O ile w ogóle jeszcze jestem.

Cisza.

Kiedyś słyszałem, że pustkę da się zapełnić tylko drugim człowiekiem. Tak jakby człowiek był czymś, a wszystko inne – niczym.

Staram się przywrócić ją do życia. I trochę nawet mi się to udaje.

Cisza.

Wiem jednak, że kiedyś będę musiał pozwolić jej odejść. Bezpowrotnie.

Czasem to sobie wyobrażam.

Mężczyzna bierze Kobietę za rękę.

Mężczyzna: Już czas, kochanie.

Kobieta (chichocze): Na co czas, mój niedźwiedziu?

Mężczyzna: Czas, żeby się pożegnać.

Kobieta: Pożegnać?

Mężczyzna: Nie możemy już tego tak dalej ciągnąć.

Kobieta: Ale ja się nie chcę żegnać. Misiu...

Mężczyzna: Ja też nie.

Mężczyzna prowadzi Kobietę w stronę zejścia ze sceny.

Kobieta: A co ja miałabym potem robić?

Mężczyzna: Nic. Nic nie musisz robić.

Kobieta uśmiecha się ciepło, całuje go w policzek. Dalej już idzie sama, znika. Mężczyzna wraca na środek sceny.

Mężczyzna: Kiedy pozwolę jej odejść, sam też na dobre przestanę istnieć.

Myślę jednak, że nawet wtedy coś z naszego życia pozostanie. Ono gdzieś jest. Nie da się mu zaprzeczyć. Nawet kiedy myśli i pamięć wygasną. Istnienie musi pozostawiać jakiś ślad w nieistnieniu. Jesteśmy małym stemplem na osi czasu. Żyliśmy w najbardziej odpowiednim do tego momencie i robiliśmy dokładnie to, co powinniśmy byli zrobić.

Mężczyzna pozostaje na scenie.

Scena 10

Leci piosenka „Dance Me to the End of Love” piosenkarza Leonarda Cohena.

Do starszego Mężczyzny z ostatniej sceny dołączają mężczyźni z poprzednich scen:

- Syn, co nie zawsze potrafi przeliterować nazwisko wybitnego współczesnego pisarza Houellebecqa
- Chłopak już bez stulejki
- Intelktualista – doktor psychologii
- Syn zamarznętego ojca
- Manager-sadysta
- Histeryk-przemocowiec już bez ręki (w jej miejsce ma zakrwawiony bandaż)
- Mężczyzna w kryzysie

Mężczyźni zaczynają tańczyć ze sobą, klasycznie – tak jak zazwyczaj tańczy mężczyzna z kobietą.

Potem proszą do tańca mężczyzn z pierwszych rzędów widowni.

W międzyczasie czterdzieści dziewięć czerwonych róż zostaje rozdanych przez pozostałe osoby z obsady mężczyznom z widowni z wyższych rzędów.

KONIEC